

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 8 (2012)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Treblinka. Reportaż [tłum. i przyp. Karolina Szymaniak, oprac. Monika Polit]

Treblinka. A Reportage [trans. and ed. Karolina Szymaniak, ed. Monika Polit]

Rachela Auerbach
redakcja@holocaustresearch.pl

Karolina Szymaniak
karolina.szymaniak@gmail.com
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-7107-7556

Monika Polit
Żydowski Instytut Historyczny
redakcja@holocaustresearch.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-5738-0898

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.626
Strony/Pages: 25-75

CC BY

OPEN ACCESS

Rachela Auerbach

Treblinka. Reportaż

Moim nigdy niepoznanym
Karolina Szymaniak

Spis treści

Informacja 27
Wstęp 28
Droga tam 31
Ludzie z Treblinki 31
Wspomnienie 32
Literatura o Treblince 33
„To nic, nic, nic” 35
Wy, którzy chcecie tu zajrzeć, zapomnijcie o uśmiechu! 35
Przygotowanie 39
Droga do nieba 40
Ostatni akt 41
Lazaret 43
Dygresja. Nauka o wyniszczaniu 44
Dygresja psychologiczna 46
Niemiecka idylla 49
Okienka, by zajrzeć do środka 54
Fryzjer 55
W świetle liczb 56
Okulary, broszki, złote pióra 60
Kopaczka 61
Więźniowie Treblinki 62
„Kiwe” z „Beriszem” 63
Opowiada Żyd 64
Meir Kapo 66
Chaimek z konikiem 66
Opowiada Polak 67
Ludzie i ludziska 68
Nad tym miejscem wiecznie będzie mgła 69
Polskie Kolorado albo gorączka złota w Treblince 70
Piaszczysta ziemia odkrywa swą tajemnicę 72
To nóżka mojego dziecka 73
Zapada noc 75

Reportaż Racheli Auerbach powstał w zeszłym roku. Stanowi zapis wrażeń z wizji lokalnej na terenie byłego obozu śmierci w Treblince. W reportaż o tej ekspedycji, która została przeprowadzona 7 listopada 1945 roku, zostały wplecione obrazy i refleksje dotyczące tego, czym była Treblinka. Chcemy podkreślić, że autorka zajmowała się przesłuchiwaniem świadków i badaniem problematyki obozu śmierci w Treblince już od 1942 roku. Choć jej reportaż ma bardziej literacki niż naukowy charakter, fakty w nim opisane pozostają w zgodzie z dzisiejszym stanem naszych badań dotyczących Treblinki.

Kolegium redakcyjne

Informacja

7 listopada 1945 roku z inicjatywy państwowej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce odbyła się wizja lokalna w Treblince z udziałem siedleckiego sędziego śledczego Z[dzisława] Łukaszkiewicza, prokuratora [Jerzego] Maciejewskiego, mierniczego przysięgłego [Karola] Trautsolta, przedstawicieli Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej – Racheli Auerbach i kpt. dra Józefa Kermisza, przedstawicieli Koła byłych więźniów Treblinki – [Samuela][1] Rajzmana, [Henryka] Reichmana[2], [Szymona] Friedmana, [M./R.] Mitelberga[3] i [Tanchuma] Grinberga[4]. Uczestniczyli w niej także: przewodniczący siedleckiej Powiatowej Rady Narodowej J. Ślebzak[5], sołtys sąsiedniej wsi Wólki Okrąglik ob. Kucharek i fotoreporter [Jakub] Byk.

W czasie wizji lokalnej dokładnie obejrzano teren byłego obozu śmierci i przygotowano dokumentację fotograficzną. Po powrocie do Warszawy Żydzi biorący

[1] W źródłach żydowskich Szmuel, taką pisownię stosuję dalej w tekście, natomiast formę Samuel zachowuję w przypisach odnoszących się do polskich wydań jego świadectw. Wszystkie przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od tłumaczki; przypisy oznaczone dwiema gwiazdkami – od redakcji. Pozostałe są przypisami autorki lub redakcji oryginalnego wydania.

[2*] Chodzi o Jechiela Rajchmana, takiego imienia używa się też w oryginalnym tekście. Pisownię nazwiska podaję za dokumentami polskimi. W dalszej części tekstu posługuję się żydowską wersją imienia i nazwiska.

[3*] W podpisie umieszczonym pod zdjęciem w książce, znajdującym się między s. 32 a 33, Auerbach podaje inicjał imienia „M.", ten sam inicjał podaje w swojej książce Alexander Donat (por. *The Death Camp Treblinka. A Documentary*, New York: Holocaust Library, 1979, s. 288). W protokole, który powstał po wizji lokalnej, zapisano inicjał „R." (Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego [dalej AŻIH], Obozy, 209/41, Odpis sprawozdania Głównej Komisji dla Zbadania Zbrodni Hitlerowskiej w Polsce o Treblince z 1945 roku, zatytułowanego „Do Centralnego Komitetu Żydów Polskich w Warszawie", z pobytu komisji na polach byłego obozu Treblinka, k. 2 i 7). Taki też inicjał podaje Martyna Rusiniak w swojej książce *Obóz zagłady Treblinka II w pamięci społecznej*, Warszawa: Neriton, 2008, s. 34.

[4] Stosowana także pisownia: „Tanhum Grinberg" oraz wariant nazwiska – „Grynberg".

[5*] Taki inicjał u Auerbach. W protokole wizji lokalnej podaje się inicjał „R.". Por. AŻIH, Obozy, 209/41, k. 2.

udział w wyprawie do Treblinki złożyli w Centralnym Komitecie Żydów Polskich[6] memoriał dotyczący stanu, w którym znaleźli miejsce, gdzie dokonano największego mordu na Żydach polskich. Memoriał zakończono apelem o zwrócenie się do właściwych czynników z prośbą, by podjęły należne kroki, które położyłyby kres profanacji tego miejsca, uznawanego za świętość przez miliony Żydów na całym świecie[7].

Wstęp

Wiem, że to, co przekazuję tu do druku, nie jest wcale łatwą lekturą. Nie jest to lektura dla ludzi o słabych nerwach, ale jeśli coś takiego mogło się zdarzyć Żydom, jeśli Żydzi, którzy to widzieli, mogli o czymś takim opowiedzieć, a ja mogłam to zapisać – inni Żydzi nie powinni dbać o swoje dobre samopoczucie i winni zapoznać się z jedną setną jednej setnej tego, co uczyniono ich narodowi.

Niech wiedzą o tym wszyscy Żydzi, to ich narodowy obowiązek – **znać prawdę**[8].

Czy tego chcą, czy nie, także nie-Żydów należy na wszelkie sposoby skłaniać do poznania prawdy.

Niech wreszcie ludzie na całym świecie zyskają pełną świadomość tego, do czego prowadzi faszyzm, totalitaryzm, właściwie indyferentyzm polityczny i polityczna inercja mas...

Do czego może doprowadzić ponowne ustanowienie władzy niemieckiej.

Temu celowi niech służy ta niewielka, pełna bólu książeczka.

Reportaż mój, czy jakkolwiek inaczej nazwałabym tę pracę, jest – jako próba oddania pełnego obrazu Treblinki – dalece niepełny.

Nie mówię tego, by uniknąć krytyki. Chcę tylko wskazać na niedostatki, które sama dostrzegam, z czego nie wynika, że mogłam ich uniknąć. Mam więcej niż jedno wytłumaczenie, dlaczego nie mogłam tego tymczasem napisać inaczej, niż napisałam.

Bardziej refleksyjnie niż obrazowo, więcej mówiąc, niż pokazując. Nie oddając realizmu konkretnego przeżycia obozu śmierci.

Brakuje zasadniczych rzeczy. Jest w tekście coś z bólu, nie ma uwznioślenia żydowskiego człowieka.

[6**] Właśc. Centralny Komitet Żydów w Polsce.

[7*] Apel ten brzmiał: „[...] Należy jak najrychlej położyć kres temu bezczeszczeniu zbiorowych mogił oraz świętego dla wszystkich Żydów w Polsce i na całym świecie miejsca kaźni milionów bezbronnych i niewinnych ofiar żydowskich. W tych warunkach zwracamy się niniejszym do Centralnego Komitetu Żydów Polskich z wezwaniem o podjęcie natychmiastowej interwencji u czynników państwowych w celu zaopiekowania się i ochrony terenów obozu śmierci Treblinka, miejsca męczeńskiej śmierci milionów Żydów” (AŻIH, Obozy, 209/41, k. 7).

[8**] Podkreślenia oraz wyróżnienia za pomocą kursywy występujące w tekście oryginalnym oddano drukiem wytłuszczonym.

Brakuje Halinki Czechowicz, siedmioletniej dziewczynki z treblińskiego protokołu[9], tego rezolutnego dziecka, które dojrzało na chwilę przed śmiercią.

Przy rozdzielaniu kładzie głowę na ramieniu ojca, nie dlatego, że szuka u niego pocieszenia, chwilowego azylu dla oczu, które widzą już jasno zagładę. Nie, ona chce uspokoić ojca, to **ona chce go** pocieszyć i dodać mu sił.

„Tatusiu, nie bój się! Tatusiu, nie martw się!".

I: „Weź, tatusiu, zegarek. Przeżyjesz, przyda ci się".

Ojciec rzeczywiście „przeżył" i „żyje", a gdy kończy opowiadać tę historię i zamyśla się, z jego twarzy można wyczytać, że wciąż wsłuchuje się w głos swojego dziecka, czuje dotyk drobnych dłoni, wręczających mu ten kawałek złota, którego kazano jej strzec jak oka w głowie: na wypadek gdyby to ona miała się uratować. Ale ona wie, że jej już nie będzie potrzebny…

I ja widzę i słyszę tę dziewczynkę. Łzy, których nie wypłakała, by ojciec nie pogrążył się w smutku, będą we mnie płakać aż do końca moich dni.

I widzę je w setkach i tysiącach podobnych dziewczynek, jeszcze w czasie, gdy rozkwitały jak kwiaty w zamkniętym getcie, choć wokół nich nie było już ani źdźbła trawy. Spotykałam je codziennie na nabitych ulicach, patrzyłam na tę ich wiosnę na żydowskich podwórzach. Aż naraz wszystkie zniknęły mi z oczu. By ponownie zamigotać cieniem podobieństwa w jakiejś twarzy, którą dziś spotykam. W nowych miastach, które bez Żydów stały się obce, na nowych drogach.

Gdzie to ja już widziałam u rudego dziecka takie oczy, zielono-złote, głębokie, pucułowate policzki i różowy nosek usłany małymi piegami? Gdzie już zatrzymał mój wzrok urok tego, co słowiańskie, zmieszanego z tym, co żydowskie, w zawstydzonym uśmiechu na buzi malucha?

Zatrzymuję się i patrzę za nim: może to nasze, uratowane? A może to tylko jakiś znak, zbłąkany, który będzie tu się tułał we krwi przez pokolenia, ku pamięci.

Kim jest ów mężczyzna o jasnych brwiach, który pojawia się od czasu do czasu w mojej pamięci? Z przestraszoną, zarośniętą, ale jakoś dziwnie znajomą twarzą? Niewysoki, zwinny w zielono-szarym, znoszonym płaszczu deszczowym. Czy to dawny, nieznany mi sąsiad ze Lwowa albo z Warszawy? Może sprzedawał mi fasolkę, gdy prowadziłam w getcie kuchnię? A może stał – Żyd wśród Żydów – przy stoliczku z pietruszką na bazarze? Wiele już godzin spędziłam, rozmyślając o tym, wstawałam nocą i starałam się sobie przypomnieć, ale wciąż nie wiem, kim jest.

Ale jedno wiem na pewno.

Że już nigdy, przenigdy go nie spotkam, nie zatrzymam go na środku ulicy wśród tłumu innych. Kamień spadłby mi serca: Niech mi pan powie, kim pan jest, że zdaje mi się pan tak dobrze znany?

[9*] Zob. zeznanie Arona Czechowicza z 11 X 1945 r., spisane przez sędziego Zdzisława Łukaszkiewicza. Dokumenty zebrane przez Łukaszkiewicza znajdują się obecnie w Archiwum IPN pod sygnaturą CK 196/69.

A czyj jest ten nieokrzesany tłuścioszek, mówiący niewyraźnie, na poły chłopak, na poły dziecko? Z włosami ostrzyżonymi na jeża, jak futerkiem młodego zwierzęcia. Z rozchełstanym niebieskim szalikiem. Taki, co wszędzie biega, skacze i nie ma czasu zatrzymać się zjeść.

Ogień i wiatr.

Kim jesteś, chłopcze? Czyjś jest, że plączesz się wokół cmentarza mojej pamięci?

Powinnam ich wszystkich pokazać w Treblince. Tam zostali unicestwieni. Cały żywioł.

I tej rosłej kobiety też nie pokazałam – zogerki, prowadzącej modły. Rebecyn czy straganiarki z transportu z prowincji. Stała w rozbieralni niczym *baal tfile* na ambonie, niczym przodownik modłów i głośno, donośnie, słowami żydowskimi i języka świętego, wraz z innymi kobietami zmawiała przedśmiertną modlitwę. Wzniosła do góry ramiona i krzyczała do Boga, by je dojrzał, usłyszał i pomścił…

I innych jeszcze mężczyzn i kobiet, którzy zapłonęli jak światło całym swym żydowskim i ludzkim jestestwem na chwilę przed zgaśnięciem.

Jaką też wagę mają moje słowa o obozowcach z Treblinki, gdy brak między nimi dra Chorążyckiego[10] – serca treblińskiej konspiracji?! I innych głównych postaci odbierającego dech dramatu treblińskiego buntu – którzy powstali i padli w walce. Inżyniera Galewskiego[11], Moszego Orlanda[12], kapitana Zelo-Blocha z Czech[13]. Twarze i charaktery, które wyłaniają się spomiędzy całego mnóstwa anonimowych, odsłoniły się w ostatniej godzinie swego życia – **wielcy Żydzi**.

Obraz konspiracji i buntu w Treblince nie mógł się zmieścić w tak wąskich ramach. Należy to opisać osobno.

Tak więc to, co oddaję obecnie do druku, nie jest w żadnym razie obrazem Treblinki, jak ją widzę i jak ją **znam**.

To zaledwie szkic do fragmentu obrazu, którego namalowaniu mogłabym poświęcić te niewiele lat, jakie mi jeszcze pozostało. Obrazu tego, jak żywy, krzyczący, buzujący życiem świat osuwa się w przepaść.

[10*] Julian Chorążycki – lekarz laryngolog, kapitan Wojska Polskiego. W getcie warszawskim przyjmował przy ul. Nowolipki 54. Uczestnik treblińskiej konspiracji, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego (Konspiracyjnego) przygotowującego obozowy bunt. Gdy odkryto u niego złoto na zakup broni, udało mu się zażyć cyjankali. Ciało Chorążyckiego esesmani ukarali karą 50 batów. Pośmiertnie otrzymał w 1945 r. Krzyż Walecznych. Zob. Samuel Willenberg, *Bunt w Treblince*, Warszawa: Biblioteka „Więzi”, 2004, s. 100–103, *The Death Camp…*, s. 281.

[11*] Marceli Galewski – inżynier, w obozie pełnił funkcję *Lagerältester*. Zginął w czasie powstania. W 1945 r. odznaczony Krzyżem Walecznych. Por. *The Death Camp…*, s. 281–282.

[12] Chodzi tu, jak się zdaje, o Zeewa (Cwiego?) Kurlanda, który w Treblince pełnił funkcję kapo w lazarecie, w treblińskiej konspiracji od samego początku, członek Komitetu Konspiracyjnego. Zginął w powstaniu.

[13*] Zelomir (Zelo) Bloch – z zawodu fotograf, oficer armii czechosłowackiej w randze kapitana, przejął po inż. Galewskim kierownictwo komitetu organizującego bunt. Przeniesiony karnie do obozu Treblinka II, co osłabiło konspirację. Zginął w czasie powstania. Por. *The Death Camp…*, s. 282–283.

Będę to próbowała uczynić jeszcze dziesiątki razy, choć nie wiem, czy mi się to uda.

Ale będę próbować.

Rachela Auerbach

Łódź, styczeń 1946 roku

Droga tam

Oto ona – najsmutniejsza ze wszystkich żydowskich dróg. Trasa, którą pokonały setki tysięcy Żydów w zadrutowanych, wypełnionych po brzegi wagonach towarowych, w gorszych warunkach niż bydlęta wiezione na rzeź.

– Wody!!! – wołali ludzi z przejeżdżających tędy transportów śmierci, a ten – jeśli jest człowiekiem – kto słyszał ich głos, nigdy już go nie zapomni. W środku, z pragnienia, ludzie zlizywali z siebie nawzajem pot. U młodych matek ze strachu wysychało w piersiach mleko i nie mogły się już doprosić, ani dla siebie, ani dla swoich maluchów, by choć raz przed śmiercią zwilżyć czymś spierzchnięte usta. Dla tych skazanych na śmierć nie było prawa do ostatnich życzeń. Zbyt wielki był pośpiech: w ciągu miesięcy skończyć z milionami. Już w drodze całe grupy ludzi umierały uduszone w ścisku.

I z powodu chloru, którym gdzieniegdzie dla „dezynfekcji" posypywano wagony.

W zasadzie i my powinniśmy jechać tam koleją, a może nawet pójść pieszo. Jak pobożni pielgrzymi wędrujący do świętych miejsc. Powtórzyć wszystkie stacje żydowskiej drogi śmierci. Ale kamienie milowe tej Golgoty nie zostały jeszcze rozmieszczone. Na razie nie jedziemy jeszcze do Treblinki jak na groby naszych bliskich. Jedziemy po prostu z komisją śledczą obejrzeć samo miejsce. Jedyny ból, jaki bierzemy na siebie bez żalu, to uderzenia zimnego wiatru smagającego nasze sino-czerwone twarze w pędzącym aucie.

Ludzie z Treblinki

W samochodzie jedzie nas w sumie ośmioro Żydów. Dwoje członków Żydowskiej Komisji Historycznej, fotoreporter i pięciu byłych więźniów Treblinki. Trzech z nich uratowało się z powstania w obozie, czwartego wysłano stamtąd do innych obozów (notabene był on świadkiem śmierci dra Jicchoka Schipera[14] na Majdanku), kolejny znalazł się w obozie karnym Treblinka I, a nie w lepiej znanym obozie śmierci Treblinka II. Tam, latem 1944 roku, już „zlikwidowany", trafiony dwiema kulami, powstał nocą z martwych i dzięki pomocy miejscowego chłopa przetrwał w okolicy do czasu wkroczenia Armii Czerwonej.

[14*] Jicchok (Ignacy) Schi(p)per (1884–1943) – historyk żydowski, znawca historii gospodarczej, związany z Instytutem Nauk Judaistycznych w Warszawie, poseł na Sejm RP I kadencji. Zginął na Majdanku.

Każdy z byłych więźniów, a nawet z naszej trójki – którzy nie byliśmy w Treblince – ma swoją historię. Zazębiające się ogniwa, splot historii, jakie mogłyby wypełnić wiele tomów powieści przygodowych. Czytałoby się je w napięciu i z przerażeniem, jak rzeczy bardzo fantastyczne. Dziś dla nas samych mogłyby one brzmieć dziwacznie i nieprawdopodobnie, gdybyśmy jednak nie wiedzieli nazbyt dobrze, że są po prostu najzwyklejszą w świecie, najczystszą prawdą.

W każdej gospodzie, w której się zatrzymujemy, jak też w zajeździe, gdzie zostajemy na noc, i w miejscach, gdzie czekamy na połączenia, ocaleni z Treblinki wciąż opowiadają. Kieruje nimi instynkt, potężny przymus przekazania, utrwalenia tragicznych i potwornych przeżyć, rzeczy, które widzieli na własne oczy. Z tych czterech dni opowiadań naszej ósemki powstaje makabryczny tetrameron.

Warto byłoby, by daleki świat – który gotowy już niejedno zapomnieć – nieco dokładniej zapoznawał się z takimi relacjami.

Wspomnienie

Jeszcze raz staje mi przed oczami obraz obozu śmierci, którego opisów wysłuchałam już tyle dziesiątków razy. Nowocześnie zorganizowana fabryka trupów, niemieckie przedsiębiorstwo mordu, które przerobiło na popiół, złote zęby, materace i stare ubrania ponad milion żydowskich istnień. Patrzę na pięciu treblinkarzy, ale w wyobraźni widzę i słyszę pierwszego, który stamtąd uciekł. Tego, którego wspomnienia o osiemnastu dniach spędzonych w Treblince zapisywałam i opracowywałam przez długie tygodnie jeszcze zimą przełomu 1942–1943 roku.

Nazywał się **Abram Krzepicki**[15].

Oboje pracowaliśmy w fabryce sztucznego miodu, mieszkaliśmy w tym samym „bloku mieszkalnym”. Teraz widzę go w pamięci – jeszcze żywego – stojącego w moim mieszkaniu. Niskiego wzrostu, z głową czarnych włosów i błyszczącymi niczym czarne diamenty młodymi oczami. Dwudziestopięcioletniego, krew z mlekiem: sam ogień. Ale mądrego niczym starzec, pewnego swych decyzji. Jak dojrzały człowiek. Dzięki temu udało mu się wydostać z obozu śmierci.

Jego twarz jaśnieje szczęściem. Trzyma w dłoni rewolwer, który żydowska szmuglerka przemyciła w bochenku chleba z polskiej strony. Jedna z pierwszych „dostaw broni” dla organizacji bojowej.

I już mamy pierwsze rezultaty – Niemców zastrzelonych podczas drugiej akcji wysiedleńczej, w styczniu 1943 roku. Opowiada mi o pierwszych walkach i zachłystuje się z podniecenia.

Służył w Wojsku Polskim, posługuje się fachową terminologią. Najgorętszym jego marzeniem jest, by w porozumieniu z leśnymi zorganizować napad na Treblinkę. Teraz dowiaduję się, że to samo marzenie mieli żydowscy robotnicy w obozie

[15*] Por. AŻIH, 382, Ring. II/299, Opracowanie „A mencz iz antlofn fun Treblinke... Geszprechn mit curikgekumene”. Było to pierwsze zeznanie naocznego świadka dotyczące zbrodni dokonywanych w Treblince. Relacja ukazała się drukiem w „Bleter far Geszichte” 1956, nr 1–2.

śmierci, w środku. Liczyli na sowiecki desant. Na atak partyzantów. Liczyli, że skuszą ich pokaźne środki, które mogą tu zdobyć dla swojej sprawy. Niestety, kalkulacje te zawiodły.

Krzepicki planował dołączyć do grupy, która przebijała się na Węgry. Później, w marcu, wychodzę na polską stronę, chcę mu pomóc się tu przedostać, wierząc, że należy ratować go jako świadka. Wszystkie plany spełzają jednak na niczym. Już stał się zdyscyplinowanym członkiem Organizacji Bojowej. Jego miejsce jest w getcie. Jego losem jest zginąć w powstaniu jako bojowiec.

W ten sposób Abram Krzepicki, jeden z pionierów zbrojnego oporu, nie dożył ani powstania w Treblince, ani późniejszego – dla nas zbyt późnego – upadku Hitlera. Nie dożył, by stać się przewodnikiem dzisiejszej ekspedycji do Treblinki. Jednego tylko dożył. Pasywną, zrezygnowaną męczeńską śmierć w Treblince zamienił na śmierć aktywną, bohaterską i piękną – jako bojownik powstania w getcie warszawskim.

Niech jego imię będzie wspominane wśród imion bojowników.

Literatura o Treblince

Jeszcze dzięki Krzepickiemu i innym uciekinierom z 1942 roku poznaliśmy istotę treblińskiego Mordbetriebu[16]. W naszym archiwum, pod ruinami getta[17], znajdują się materiały zebrane jesienią i zimą 1942–1943 roku i moje opracowanie pt. *Ich bin antlofn fun Treblinke* [Uciekłem z Treblinki][18]. Później doszła opublikowana w podziemiu broszura autorstwa Jankiela Wiernika *A jor in Treblinke* [Rok w Treblince], która została wysłana za granicę, przedrukowana przez gazety jidysz i hebrajskie, a następnie wydana w języku żydowskim i w tłumaczeniu na angielski w Nowym Jorku[19].

Po wyzwoleniu Polski pojawiło się wiele publikacji o Treblince. W Związku Radzieckim ukazała się broszura W[asilija] Grossmana *Piekło Treblinki*[20], jak również

[16*] *Mordbetrieb* (niem.) – przedsiębiorstwo mordu.

[17*] Mowa o Konspiracyjnym Archiwum Getta Warszawy, zwanym Archiwum Ringelbluma. Tworzyła je grupa działająca pod kryptonimem „Oneg Szabat", kierowana przez historyka dra Emanuela Ringelbluma. Auerbach była jednym z trojga współpracowników Archiwum, oprócz Hersza Wassera i jego żony Blumy, którzy przeżyli wojnę. Archiwum zostało ukryte – pierwsza część w sierpniu 1942 r., druga – w lutym 1943 r., trzecia – w noc poprzedzającą wybuch powstania w getcie. Gdy Auerbach pisała swój tekst, archiwum jeszcze nie zostało wydobyte spod gruzów getta. Pierwsza część archiwum została odnaleziona 18 IX 1946 r. dzięki wskazówkom Hersza Wassera. Drugą odkryto w czasie prac ziemnych 1 XII 1950 r. Trzeciej części archiwum nie odnaleziono do dziś. Obecnie archiwum znajduje się w Żydowskim Instytucie Historycznym.

[18*] Chodzi o opracowanie „A mencz iz antlofn fun Treblinke..." (AŻIH, 382, Ring. II/299).

[19*] Jankiel Wiernik, *Rok w Treblince. A Year in Treblinka*, Warszawa: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, 2003. Jest to przedruk oryginalnego wydania, zawiera wersję polską i angielską.

[20*] Wasilij Grosman [Grossman], *Piekło Treblinki. Reportaż literacki*, Katowice: „Literatura Polska", 1945.

reportaże w „Nowych Widnokręgach” i innych czasopismach. Krakowskie „Odrodzenie” wydrukowało dwa artykuły Sz[muela] Rajzmana[21]. „Dos Naje Lebn” – opisy powstania w obozie. Literackie opracowanie działalności konspiracyjnej i buntu ma gotowe do druku prokurator J. Leszczyński. Większe i mniejsze artykuły o obozie śmierci w Treblince pokazały się w rozmaitych polskich dziennikach.

Latem 1945 roku w Łodzi zorganizowało się Koło byłych więźniów obozu, które dłuższy czas pomagało Żydowskiej Komisji Historycznej we wszystkich pracach związanych z badaniem historii Treblinki. Przede wszystkim w zrozumieniu świadectw osób, które przeszły przez obóz. Rozmowy ze świadkami zbierała polska psycholożka Janina Bukolska[22], mająca wielkie zasługi dla ratowania Żydów po tzw. aryjskiej stronie Warszawy.

Jankiel Wiernik nosi się z projektem stworzenia modelu obozu, który odzwierciedlałby wszystkie szczegóły machiny zagłady[23].

Obecnie Centralna Żydowska Komisja Historyczna dysponuje paroma dziesiątkami protokołów byłych treblinkarzy. Plany obozu, piosenki, które śpiewano w Treblince i o Treblince, jak również inne materiały są właśnie opracowywane i zostaną wydane w osobnej publikacji[24].

Jednym słowem – tragiczna sława obozu, który jest największym symbolicznym i faktycznym masowym grobem polskich Żydów, miejscem najstraszniejszej z niemieckich masowych zbrodni, bardzo się rozrosła.

Treblinke dort…

Far ale jidn dos ***hejlike*** *ort*

[Treblinka, tam to wiedzcie/Dla wszystkich Żydów święte/pochówku miejsce[25]].

Tak o Treblince mówi ludowa piosenka, powstała już po pierwszej akcji w Warszawie, jesienią 1942 roku *Dos lid fun di wagonen* [Pieśń wagonów] – śpiewana w szopach i w innych miejscach, gdzie pracowali Żydzi między pierwszą a drugą akcją, między drugą a trzecią.

I owa pieśń warszawskich Żydów – ich pożegnalny wkład w żydowski folklor – należy do zbioru treblińskiej literatury.

[21*] Zob. Samuel Rajzman, *Zagłada Treblinki*, „Odrodzenie” 1944, nr 4–5, s. 9.

[22] Zob. np. *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, red. Władysław Bartoszewski, Zofia Lewinówna, wyd. 3, Warszawa: Stowarzyszenie ŻIH i Świat Książki, 2007, s. 213–215.

[23*] Makietę tę, która stanowiła dowód w procesie Adolfa Eichmanna, można obecnie zobaczyć w muzeum Kibucu Bojowników Gett w Izraelu.

[24] Tymczasem ukazała się broszura siedleckiego sędziego, który prowadził dochodzenie i brał udział w wizji lokalnej 7 XI 1945 r. Zob. Zdzisław Łukaszkiewicz, *Obóz straceń w Treblince*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946. * Była to publikacja Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Syntetyczne opracowanie wyników śledztwa ukazało się w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce” 1946, t. 1. Część tych dokumentów została wydana też w publikacji *Dokumenty i materiały do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce*, t. 1: *Obozy*, oprac. Nachman Blumental, Łódź: Centralna Żydowska Komisja Historyczna, 1946 (materiały dotyczące Treblinki znajdują się na s. 173–195).

[25*] W oryginale gra słów: *dos hejlike ort* – święte miejsce, *dos hejlik(e)-ort* – cmentarz.

„To nic, nic, nic"

Z treblinkarzy, z którymi rozmawiałam, a którzy nie znajdują się dziś tu z nami, przypominam sobie teraz jeszcze jednego.

Szorstkiego, surowego mężczyznę, może niebezpiecznego. Jego szorstkość należy jednak do tego gatunku, który podnosi na duchu, daje nowe siły.

Sceptyk, sarkasta, milczek, który wszelako wiele mówi przez sposób, w jaki wydmuchuje dym papierosa.

Jeśli się nie mylę, z zawodu jest rzeźnikiem, najzwyklejszy śmiertelnik[26].

Spotkałam go krótko po wyzwoleniu, niecałe dwa lata po jego ucieczce z obozu śmierci. Rana-Treblinka jeszcze się prawie w ogóle w nim nie zabliźniła. Wciąż zachowuje się jak zwierzyna łowna. Pewnie już zawsze będzie się tak zachowywał. Zupełnie inaczej niż pozostali – nie chciał mówić o przeżyciach, nie chciał opowiadać.

– Nie była tam pani, to niech się pani cieszy. Na co pani ta wiedza? Chce pani to opisać?! Niech sobie pani pisze na zdrowie, kto tam nie był, ten nigdy nie zrozumie.

I dodał jeszcze:

– To **wciąż** Treblinka.

– Treblinka jeszcze się nie skończyła. Prześladuje nas, jak nas prześladowała do teraz. W lesie, na strychach, w każdej dziurze, z której trzeba było uciekać z powodu najmniejszego nawet donosiciela. Teraz jest tu, na ulicy, w restauracji, gdzie przesiaduję ze swoim żydowskim nosem, choć powinienem od dawna już być na tamtym świecie.

Każdy człowiek jest zbrodniarzem, ja też. Też chciałbym zabijać i tłuc, zabijać i tłuc...

– To nic, nic, nic...

Ta pustynia bez lasu, ani drzewa...

Być może miał na myśli pustynię, która pozostała w jego duszy, spustoszonej przez tajfun.

Czy dojdziemy jeszcze do tego poziomu, by domagać się rozliczenia za spustoszenia dokonane w duszy?

Wy, którzy chcecie tu zajrzeć, zapomnijcie o uśmiechu!

Zapomnijcie o uśmiechu na zawsze!

I zapomnijcie też, że imię wasze „człowiek", jeśli ludźmi nazywali się ci, którzy coś takiego mogli stworzyć!

[26*] Wśród ocalałych z Treblinki kilku wykonywało zawód rzeźnika: Leon Finkelstein, który wyemigrował do Francji i osiadł w Paryżu, Wolf Schneiderman, zamieszkały po wojnie w Nowym Jorku, Berek Rojzman, jedyny z ocalonych z Treblinki, który pozostał w Polsce i również pracował jako rzeźnik. Por. *The Death Camp...*, s. 284–291.

W eposie *Gilgamesz* czytamy, jak bosko piękny i potężny Enkidu, król Babilonu[27], zmienia się po tym, jak zstąpił do królestwa zmarłych, by odnaleźć tam cień swojego ojca. I gdy powrócił pomiędzy żywych, nie mógł już rozkoszować się wodą ze źródeł i radować swego serca słodyczą owoców. Przestał całować piersi kobiet i cieszyć się – młody i dziki – pięknem dziewic. Pałał gniewem do wszystkich bogów i bogiń i wpadł w melancholię.

Jako to nasz żydowski król z Koheleta.

Nad bramą do średniowiecznego piekła Dantego wyryto słowa: „Wy, którzy wchodzicie, żegnajcie się z nadzieją”.

Jaki napis powinien był się znaleźć nad bramą wejściową do Treblinki?

Wisiały na niej tylko ogłoszenia o konieczności oddania walorów w depozyt, a ubrań do dezynfekcji...

– – –

Gdy tylko Żydzi z transportów śmierci, na wpół uduszeni z ciasnoty i braku powietrza, wymieszani ze zwłokami tych, którzy padli po drodze, wychodzą na treblińską „rampę”, rzuca się na nich chmara niemieckich i ukraińskich esesmanów z kijami, nahajkami i automatami w rękach. Zaczyna się wypędzanie z wagonów, przepychanki, poganianie, potworne bicie. Nie można dopuścić, by choć na sekundę zorientowali się w sytuacji.

Mimo to przybyli zauważają kilka rzeczy. Wmówiono im, że jadą daleko „na wschód”, „na roboty”, „na osiedlenie”. Tymczasem, choć dużo czasu spędzili w drodze, widzą, że nie zajechali za daleko. Widzą też system ogrodzeń z drutu kolczastego zamaskowanego zielonymi gałęziami. Ciężką broń maszynową na dachach baraków, na wieżach strażniczych, gotową, by w każdej chwili wystrzelić serię kul...

Tak ma wyglądać miejsce, gdzie można się osiedlić. Może to obóz pracy, może kacet[28]?

Nie: wrażenie każe iść w innym kierunku. Chce się im wmówić, że chodzi o **przesiadkę**. Mistyfikacja należy do najpowszechniejszych taktycznych zasad reżimu i stosowana jest we wszystkich komórkach. W późniejszym czasie pojawiają się napisy po niemiecku i po polsku, które mówią o zmianie pociągu.

„Stazion Ober-Majdan, przesiadka w stronę Białegostoku i Wołkowysk”.

Nazwa „Treblinka” jest już wówczas skompromitowana, więc się ją ukrywa[29]. Na ścianach baraków zrobiono kasę, okienko bagażowe, fikcyjny zegar, coś

[27*] Enkidu – stworzony przez boginię Aruru – był w istocie rywalem, a następnie druhem władcy miasta Uruk – Gilgamesza. Swoimi czynami rozgniewali oni bogów, za co Enkidu został przez nich skazany na śmierć. Wątek wyprawy Enkidu do zaświatów pojawia się w historiach o Gilgameszu w zupełnie innym kontekście i uważa się, że nie stanowi części eposu.

[28] Obóz koncentracyjny.

[29*] Taką nazwę przyjął obóz około marca 1943 r., po wizycie Heinricha Himmlera i Adolfa Eichmanna (lub tylko jednego z nich). Por. Willenberg, *Bunt w Treblince*, s. 69–75.

w rodzaju dekoracji teatralnych[30]. Jeszcze na wczesnym etapie, latem 1942 roku, przed wysiadającymi z pociągu sterczą jakieś dziwne tablice – całe elaboraty zapisane po niemiecku i polsku. O kąpieli i dezynfekcji, o pieniądzach i biżuterii, o dokumentach.

Są dni, gdy przychodzi mniej transportów, gdy jest więcej czasu, rozgrywa się wówczas cała ta komedia, szczególnie z Żydami z zagranicy, przygnanymi z tak daleka – nie tylko odbiera się im walory wedle kolejki, w okienku kasowym, ale daje się nawet na nie pokwitowania. Są tacy, szczególnie Żydzi niemieccy, *jekes*[31], którzy trzęsą się nad tymi kwitami, zwracają uwagę, by wszystko było dokładnie wymienione, żeby „potem" nic im nie przepadło. Wielu jednak wkrótce przestaje się ośmieszać. Sami zaczynają rozumieć, że tablice z napisami to straszydła, maszkary, które mają ich oślepić. Widzą przede wszystkim sterty ubrań i butów, które wszędzie tu się walają. Niemal każdy, kto próbuje opisać swoje pierwsze wrażenie po zobaczeniu Treblinki, opowiada o ukłuciu w sercu pojawiającym się po przyjeździe:

– Tyle odzieży, a gdzie są ludzie?

Odpowiedź przynosi częściowo zmysł węchu. Zanim zwłoki zaczęto palić, nad przedsiębiorstwem śmierci unosił się zwyczajny fetor śmierci. Potem zmieszał się z zapachem palonego mięsa...

Potem... potem... od jesieni 1942 roku polscy Żydzi nie mieli już w każdym razie złudzeń.

Nie mieli, a jednak może właśnie mieli je jeszcze trochę? Nie zważając na najstraszniejsze wiadomości, chwytali się każdego cienia, okrucha nadziei, byle tylko nie musieć wierzyć, że to tak straszliwie niemożliwe i niesamowite jest prawdą. Że dotyczy to zatem ich samych. Takie jest prawo instynktu życia, samoodczucia zdrowego ciała. Takie jest prawo zdrowej duszy, która chroni się w ten sposób przed szaleństwem. Przed daremną rozpaczą. Może jest to nieświadoma, zamaskowana forma rezygnacji.

[30*] Jak wspomina Willenberg, pewien artysta malarz odpowiedział mu, że „dostał rozkaz namalowania na białej desce czarnymi literami napisu: «Nach Bialystok und Wolkowisk», ze strzałką pod napisem wskazującą kierunek. Oprócz tego miał zrobić tablicę trzymetrowej długości i wysokości około osiemdziesięciu centymetrów, gdzie na białym polu ma być czarny napis «Ober-Majdan». Oprócz tego, ma jeszcze namalować na małych białych tabliczkach napisy «1 klasa», «2 klasa», «3 klasa», «Poczekalnia», «Kasa». Na dodatek kazano mu zrobić makietę dużego, okrągłego zegara ściennego". Por. *idem*, *Bunt w Treblince*, s. 73. Natomiast Samuel Rajzman pisał: „Po kilku miesiącach, kiedy Treblinka stała się głośna, zamieniono napis na «Ober-Majdan». Następnie duży drogowskaz «In Richtung nach Bialystok und Baranowicze», dalej «Telegraphenamt», «Fahrkartenausgabe», «Information», «Bahnmeisterei». Szczególnie rzucał się w oczy ogromny napis i drogowskaz: «Umsteigen nach Richtung Osten» i duży zegar stacyjny. Oczywiście, w tych wszystkich barakach prócz odzieży, obuwia i szmat nic więcej nie było, ale za to na przybyłych, wysiadających z pociągu wywierało to wrażenie, że znajdują się na stacji węzłowej, gdzie mają się przesiąść do pociągu na wschód". Por. Rajzman, *Zagłada Treblinki*.

[31*] W jidysz *jeke* to humorystyczne określenie niemieckiego Żyda lub obraźliwe określenie Niemca.

Niemcy potrafili to wszystko błyskotliwie wykorzystać. W strategii mordu narodów, jak go dziś nazywamy, psychotechnika odgrywała nie mniejszą rolę niż zwykła technika. Mechanizmy psychiczne i psychospołeczne ofiar zostały wprzęgnięte w machinę ich własnej śmierci. Te same zasady stosuje się w czasie akcji w gettach, w drodze i na miejscu, w samym obozie śmierci. Zabić jak największą liczbę osób, w jak najkrótszym czasie, zarobić na tym jak najwięcej przy jak najmniejszych nakładach, zagrożeniu i stratach własnych! Oto cel. Wszystko inne to środki jego osiągnięcia. Złamać fizycznie i moralnie, zarówno masę, jak i jednostkę. Stępić wszelkie odruchy obronne, zwabić jak największy procent ludzi, niemal dobrowolnie, w objęcia śmierci. Rozpraszać, dezorganizować, rozdzielać i rozszczepiać każdą grupę, każdą rodzinę. Głód i pragnienie, ścisk, pośpiech, terror – wszystko służy temu samemu celowi – gigantycznemu mordowi na Żydach. Ale najmocniej ze wszystkich tych rzeczy służy temu **kłamstwo**.

Usypianie zdrowej czujności, zdrowego i zdolnego do walki elementu fałszywymi obietnicami, że nie o nich chodzi. Zaprzęganie energii najbardziej aktywnych w pustą pogoń za mirażami bezpieczeństwa, za papierami i skrawkami papieru, za innymi każdego dnia numerami i stemplami...

Niemcy wcześniej niż my zrozumieli siłę rozpaczy, niebezpieczeństwo żydowskiego oporu. Ale też, jak długo to było możliwe, potrafili go uniknąć. Jeśli chodzi o ich wynalazczość w obszarze psychicznego wytępiania ludzi, pierwsi zastosowali nieznane dotychczas metody. I były to metody skuteczne. Zanim znaleziono sposób obrony przeciw tej nowej psychospołecznej broni, dziewięćdziesiąt procent Żydów już nie żyło. Reszta nie zdołała uratować niczego oprócz honoru.

Konsekwentnie – aż do ostatnich konsekwencji – nie nazywa się rzeczy po imieniu. Nawet na terenie obozu śmierci, kilkaset metrów od mechanicznej fabryki trupów, nie rezygnuje się, jak dalece to możliwe, z pozorów.

Połowę Żydów urabia się batem, drugą – mowami „sympatycznych” esesmanów. Obietnicami pracy, poszukiwaniem fachowców. Kobietom każe się czasem brać „do łaźni” ręczniki.

Oczywiście wszystkie te rzeczy robi się w dni, gdy jest więcej czasu. Najczęściej jednak pośpiech jest zbyt wielki. Robota pali się w rękach. Nie ma czasu na zabawę. W sierpniu–wrześniu 1942 roku jest szczyt sezonu. Z Warszawy wywozi się od sześciu do dziesięciu tysięcy ludzi dziennie. Wywozi się z innych miast. Przybywają tutaj sześćdziesięciowagonowe transporty, dzieli się je na trzy porcje po dwadzieścia wagonów. Każda musi być gotowa w wyznaczonym krótkim czasie.

Transporty przychodzą kilka razy dziennie.

Hitler się spieszy. Obiecał skończyć z Żydami w Europie, nawet jeśli miałby przegrać. I jak to ujął Stefan Szende w tytule swojej książki, jest to „obietnica, której Hitler dotrzymał”[32].

[32] Stefan Szende, *The Promise Hitler Kept*. Cytuję z pamięci. Książka ukazała się w 1944 r., miejsca i wydawcy nie pamiętam. Jest to świadectwo lwowskiego Żyda. * Książka w wersji angielskiej ukazała się w 1945 r., w tłumaczeniu Edwarda Fitzgeralda w Londynie, nakła-

Przygotowanie

„Mężczyźni na prawo, kobiety i dzieci na lewo!".

Z kobietami i dziećmi nie czyniono żadnych ceregieli, nie wybierano. Sto procent na szmelc. „Giezło".

Kobiety i dzieci idą na pierwszy ogień. Najpierw rozebrać się w baraku. Zostawić dobytek, samemu zrzucić z siebie wszystko, do ostatniej koszuli. Samemu zawiązać buty przygotowanymi sznurkami, para do pary, żeby potem przy remanencie nie brakowało prawego czy lewego buta. Obsługa jest również odpowiedzialna za to, żeby w otworach nagiego ciała nie zostało nic z dobytku. U kobiet – z tyłu i z przodu. Pod ramieniem, pod językiem. Złote zęby wyrywa się dopiero po śmierci. Oczywiście nie po to, żeby oszczędzić Żydom cierpień, ale żeby oszczędzić na czasie.

W późniejszym okresie, gdy komercyjna eksploatacja trupiego interesu przybiera właściwe rozmiary, dochodzi jeszcze obcinanie włosów kobiet. Włosy paruje się w kotłach, suszy i dopiero takie wysyła frachtami kolejowymi do fabryk mebli. Wypełnienie materacy *prima sort*, albo, jak sądzą inni, materiał na maty izolacyjne w statkach podwodnych. Treblinka dostarczyła 25 wagonów tego towaru...[33]

Polacy mówią jeszcze coś o wyciskaniu z Żydów... mydła. O transportach Żydów do Treblinki, Bełżca czy Sobiboru zwykli się wyrażać: „Poszli na mydło". Słuszności ich intuicji dowodzi odkrycie fabryczki mydła profesora Spannera we Wrzeszczu[34]. Są świadkowie, którzy mówią, że podczas palenia zwłok na rusztach podstawiano zbiorniki na spływający tłuszcz. Nie zostało to ustalone w sposób pewny. Jeśli jednak Niemcy nie robili tego w Treblince czy w innych przedsiębiorstwach śmierci i zmarnowali tyle ton wartościowego tłuszczu, to jest to najwidoczniej przeoczenie,

---

dem wydawnictwa V. Gollancz Ltd., oraz w Nowym Jorku, nakładem Roju (Roy Publishers). Książka oparta jest na opowieści Adolfa Folkmanna wysłuchanej przez autora. Było to tłumaczenie wydanej w 1944 r. w Sztokholmie publikacji *Den siste juden från Polen* (Ostatni Żyd z Polski). W 1945 r. ukazało się również tłumaczenie na język niemiecki *Der letzte Jude aus Polen*.

[33*] Dane podawane za Samuelem Rajzmanem, który wraz z innymi członkami Komitetu Konspiracyjnego, inż. Galewskim i Kurlandem, prowadził od października 1942 do sierpnia 1943 r. statystykę dotyczącą liczby transportów i osób przywożonych do obozu oraz rzeczy z obozu wywożonych. Redaktor tomu *Dokumenty i materiały do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce* podaje w przypisie: „Ostatnie śledztwo prowadzone na miejscu wykazało, że statystyka ta jest mylna: jest ona jednak niezmiernie charakterystyczna dla prac komitetu konspiracyjnego". Blumental odnosi się jednak zapewne do szacowanej na 3 mln osób liczby ofiar, a nie do liczby wywiezionych z obozu wagonów z rzeczami. Por. *ibidem*, t. 1, s. 187.

[34*] Rudolf Maria Spanner (1895–1960) – patolog, oficer SS, od 1940 r. profesor medycyny w Gdańsku w Instytucie Anatomii Akademii Medycznej, gdzie przeprowadzał różnego rodzaju eksperymenty medyczne. Zamknięte w 2006 r. śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej wykazało ostatecznie, że Spanner istotnie fabrykował w instytucie mydło z ludzkiego tłuszczu, nie była to jednak produkcja na skalę przemysłową, lecz laboratoryjną. Eksperymenty Spannera zostały opisane w *Medalionach* Zofii Nałkowskiej, członkini Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

nieporozumienie. **Mogli to zrobić.** Wpisywało się to w linię ich działań. Winna jest tu tylko nowość całej gałęzi produkcji. Jeśli Niemcy znów urządzą *drive* po Europie, już pewnie nie popełnią tego godnego ubolewania błędu.

Mężczyźni rozbierają się na zewnątrz, przed barakiem. Włosów im się nie odbiera. Nie warto się trudzić! Ledwo jakieś paręset albo parę tysięcy Żydów ma „artystyczne”, długie czupryny! Jacyś nieco ekscentryczni poeci i profesorowie. Nie opłaca się! Dlatego z mężczyzn inny robi się pożytek. Nago każe im się galopem zanieść ubrania do specjalnego punktu zbiórki. W miejscu rozbierania nie może zostać żaden ślad. Jedna szychta nie może się mieszać z drugą. Także przybyłe wagony i rampę trzeba w błyskawicznym tempie oczyścić ze zwłok. Z plecaków i paczek, z ekskrementów. Wagony muszą wrócić po nowy „surowiec” czyste i pachnące. Gdy przychodzi nowa szychta, nie może się natknąć na nic „podejrzanego”. Czy ma to jeszcze naprawdę jakieś znaczenie, czy nie, zasada pozostaje zasadą. Słynna niemiecka dokładność.

Trzy grupy żydowskiej obsługi, z czerwonymi, niebieskimi i różowymi winklami[35], odpowiedzialne są za przestrzeganie tej zasady w wagonach, na rampie, w rozbieralni.

Podział pracy. Organizacja.

Droga do nieba

Robota wre: bez przerw, sprawnie, szybko.

Rozebrani do naga, zrewidowani, ogoleni – hajda dalej!

– *Los*!!!

Otwierają się drzwiczki na drugim końcu placu rozbierania i tłum zostaje wypchnięty na drogę, która wije się między drutami kolczastymi. Droga ma trzysta metrów długości. Prowadzi przez kępę rzadko rozrzuconych drzewek iglastych. Przez słynny „zagajnik”, który zostawiono tu podczas wycinki lasu i budowy obozu. Drogę tę nazywa się „szlauchem”. Niemcy obdarzyli ją również dowcipną nazwą *Himmelstraße*. Bieganie po niej nago nazwano nie mniej dowcipnie – *Himmelfahrt*[36].

Na końcu drogi do nieba, którą Żydzi szli prosto na tamten świat, znajdowały się nowe drzwi. Drzwi do „*Badeanstalt*”[37]. Szarobiały betonowy budynek z prawdziwą instalacją łaźni publicznej w kabinach w środku i kilkoma, ach, jakże podejrzanymi małymi kominami na dachu.

[35*] Willenberg pisze we wspomnieniach, że wprowadzono je po wizycie w obozie Himmlera (i/lub Eichmanna): „podzieleni byliśmy według miejsca zamieszkania na trzy grupy. Mieszkańcy pierwszego baraku mieli niebieskie i zielone, mieszkańcy drugiego baraku czerwone winkle. Odtąd «Kiwe» mógł nas znaleźć, zapisać numer i wywołać na plac na karę chłosty”. *Idem*, *Bunt w Treblince*, s. 72.

[36*] *Himmelstraße, Himmelfahrt* (niem.) – dosł. droga wiodąca do nieba, jazda do nieba. Oba pojęcia używane są w kontekście religijnym. *Himmelfahr* oznacza w języku niemieckim, głównie w kontekście chrześcijańskim, „wniebowzięcie” lub „wniebowstąpienie”.

[37*] *Badeanstalt* (niem.) – łaźnia.

Do kabin wchodzi się z korytarza, przez wąskie drzwiczki, przez które przecisnąć się może tylko jedna osoba. Wszystko po to, by w momencie, gdy ludzie będą już w środku, nie zachciało im się wyłamać drzwi i próbować się wydostać. Kabiny są wyłożone do połowy wysokości ściany białymi kafelkami. Podłoga opada ku szerokiej, hermetycznie zamkniętej blaszanej klapie, która otwiera się naprzeciw drzwi, z zewnątrz. Na suficie – prawdziwe prysznice. I tyle – nie są połączone z żadnym dopływem wody. Połączone są z czym innym…

Kabin początkowo było trzy, w pierwszym budynku. Później, gdy okazało się, że przedsiębiorstwo „może się utrzymać", rozrosło się. Postawiono drugą *„Badeanstalt"* tego samego rodzaju, jeszcze większą i piękniejszą od pierwszej, z całymi dziesięcioma kabinami.

Po obu stronach drogi do nieba stoją Niemcy i Ukraińcy z psami. Słynny stał się szczególnie pies o imieniu Barry, tresowany do chwytania mężczyzn za organy płciowe. Sami esesmani też mają szczególną skłonność do bicia organów płciowych, głów, piersi, brzuchów – tych miejsc, w których sprawia to najdotkliwszy ból. Uderzenia nahajek i kijów po nagim ciele, ciosy kolb, czasami ukłucia bagnetów, szczególnie przy ostatecznym wpychaniu do środka. Ostatnią drogę muszą skazani na śmierć Żydzi przebyć galopem, pośród dzikich krzyków, lżenia, upokorzeń.

Ani odrobiny dystansu w obliczu misterium śmierci. Nie dość, że Żydom zbrodniczo odbiera się życie i wszystko, co posiadali, razem z tym, co zostaje z ich ciał. Odziera się ich też z resztek ludzkiej godności, z prawa do ludzkiego szacunku.

Totalny rabunek, totalny mord, totalna podłość!!!

Cała *Himmelfahrt* stylizowana jest nieco na wzór średniowiecznych antyżydowskich hec. Można również podejrzewać, że zmęczenie fizyczne, zasapanie, utrata tchu to sposób na przyspieszenie działania gazu w komorach. Aby szybciej oddać ducha.

„Humanitarnie"!?

Ostatni akt

Himmelfahrt niebawem się skończy.

Grad uderzeń ze wszystkich stron. Po głowach, po plecach…

Żydzi pędzą już sami. Komora gazowa staje się jedynym schronieniem przed uderzeniami kija po nagim ciele, przed lżeniem, przed chłodem w zimowe dni. I biegną, skaczą jeden przez drugiego, aby tylko czym prędzej dożyć chwili śmierci. Wielkiej, wyzwalającej śmierci.

O egzekucjach przez rozstrzelanie odpowiadał jeden ze świadków, że Żydzi (mężczyźni) nie jęczeli, nie lamentowali. Tylko straszliwie się spieszyli. Już w drodze zzuwali z siebie ubrania. Ci, którzy za życia byli pierwsi, i tu chcieli być pierwsi, żeby jak najszybciej życia się pozbyć.

To samo z ludźmi w Treblince. Już zrezygnowani, wolni od wszelkich iluzji. Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś, podczas *Himmelfahrt* zupełnie się rozwiały.

Dotarcie do komór gazowych to wciąż jeszcze nie ostatni akt. Strachu przed śmiercią i jej bólu muszą Żydzi doświadczyć w straszliwej ciasnocie. Ciżbę wpycha się szybko, bardzo szybko, w liczbie trzykrotnie przekraczającej to, co komory mogą właściwie zmieścić. Ci, którzy mimo przepełnienia nie zmieścili się do komór, muszą stać na zewnątrz – i czekać. Czekać na swoją kolej do komory gazowej.

Podłoga w komorze gazowej jest pochyła i śliska. Pierwsi upadają i już się więcej nie podniosą. Kolejni upadają na nich, o nich się potykają. Jedni leżą, drudzy stoją. Pełno, pełno aż po brzegi. Tak się upycha ludzi, że jedni wypychają drugich. Niektórzy świadkowie mówią, że w komorach gazowych trzeba było trzymać ręce w górze, wciągać brzuchy, żeby więcej osób mogło wejść. I gdy już tak stali ściśnięci, na głowy wkładano im, jak tobołki, małe dzieci.

Gaz to drogi towar i trzeba go wykorzystywać jak należy.

Wreszcie zamyka się drzwi.

Szychta gotowa do zatrucia. Motor wbudowany w szopę obok łaźni można puścić w ruch. Najpierw pracuje pompa ssąca, która rozrzedza powietrze, następnie zostaje nawiązane połączenie ze zbiornikiem gazu spalinowego.

– Po paru minutach – opowiadają Żydzi, którzy pracowali w tej części obozu – z budynku zaczynają dochodzi przerażające głosy. Krzyk ludzkiego bólu, strachu i rozpaczy. W ostatnim momencie – wygląda na to – gdy pompa zaczyna wysysać powietrze do oddychania, nie obowiązywały już żadne normy zachowań. Wybuch zbiorowego szaleństwa był nieunikniony.

Następnie, następnie – wszystko powoli ucichało…

Po 25–45 minutach można było już otwierać klapy z drugiej strony i z komór wypadały gotowe trupy. Nagie ciała, czasami białe, czasami sine i spuchnięte. Zawsze wilgotne, pokryte ostatnim potem, uwalane w ekskrementach. Z ust i nosów skapywała zakrwawiona ślina.

Jak mówi Jankiel Wiernik, który przypatrywał się temu najdłużej:

– Gdy wbiegali z jednej strony, jeszcze słyszałem ich krzyki – krzyczeli różnie – jeden *„Szma Jisroel!”*, inny *„Nider mit Hitlern!”* albo „Precz z Hitlerem!”, ktoś znowu *„Oj wej mir, mame!”*. Ale gdy otwierano klapę z drugiej strony, wszyscy leżeli cicho, spokojnie, wszyscy – tacy sami…

Teraz truchtem ruszają grabarze – chwytają trupy i uciekają z nimi dalej.

Niekiedy po otwarciu klapy trupy stoją niczym kukły z martwymi oczami… Zwykle są tak pozaplatane rękami i nogami o siebie, tak mocno zbite w jedną masę, że dobrze się trzeba zamęczyć, by wyciągnąć pierwszych. Kolejni wypadają już sami na rampę pod klapą. Grabarzy popędza się i bije niemiłosiernie. Praca tu należy do najcięższych i najniebezpieczniejszych w całym obozie. Tragarze wytrzymują tylko kilka dni. Gdy już się nie nadają do pracy, zostają zlikwidowani, a na ich miejsce bierze się świeżych z transportów.

W drodze do grobu przegląda się jeszcze usta trupów. Złote i sztuczne zęby zostają szybko wyciągnięte przez żydowskich „dentystów”, a zwłoki – głowa do nóg i nogi do głowy – ułożone w przygotowanych dołach. Później, zimą 1943 roku, będą od razu, jeszcze świeże, zanoszone na ruszty. Czasem zdarza się, że jakiś

trup budzi się w połowie drogi i zdarza się, że ukraiński esesman wyraża zgodę, by „wykończyć" go kulą.

Jeśli nie, i tak trzeba go pogrzebać jak należy.

Komora gazowa wyczyszczona.

Szychta gotowa, można wpuścić kolejną.

Lazaret

Aby nic nie przeszkadzało przeganianiu przez drogę do nieba, zbyt słabi, by biegać, zostają zawczasu „zlikwidowani" w przedniej części obozu, w tzw. lazarecie.

Tę dowcipną nazwę nadano jednemu z dołów – długiemu i zawsze otwartemu – do których wrzuca się gotowe trupy, zmarłych w transportach. Do tych samych dołów wrzuca się śmieci i odpady z baraków. Wszystko razem spala się na bieżąco w dołach. Już w pierwszych miesiącach treblińskiej produkcji. To obozowy stos. Wieczny ogień. Tutaj prowadzi się też na rozstrzelanie chorych bądź robotników wyselekcjonowanych na apelu albo za jakiś „grzech" popełniony przy pracy, albo nawet bez grzechu. *Du kommst ins Lazaret*[38] znaczy w języku obozowym: „Będziesz zastrzelony" (we lwowskiej brygadzie śmierci analogiczna instytucja nazywała się *Krankenhaus*, czyli „szpital"[39]), ale żeby dowcip należycie uwypuklić, Treblinka obmyśliła coś oryginalnego. Jako że w lazarecie powinien być lekarz, kręci się tu jakiś typ z opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu. Jego funkcja ogranicza się do doprowadzania starców i chorych do dołu, ustawienia ich twarzą do ognia, a gdy otrzymują strzał z tyłu w kark, pilnowania, by jak należy wpadli do dołu. Przed wyprowadzaniem na „zabieg"[40], dzięki któremu zostają raz na zawsze, za sprawą uniwersalnego środka leczniczego, uwolnieni od chronicznych i niechronicznych dolegliwości, chorzy przechodzą przez izbę przyjęć w specjalnie na ten cel zorganizowanej budce. Na zewnątrz powiewa na niej flaga Czerwonego Krzyża. W środku znajduje się odpowiednie wyposażenie – małe sofki[41] obite czerwonym pluszem, okienko ambulatoryjne. To tutaj rozbierają się chorzy.

W lazarecie likwiduje się też często dzieci. Berbecie, które same jeszcze nie potrafią biegać. Dzieci zaciągnięte do Treblinki bez matek, których nie miałby kto rozebrać i poprowadzić za rękę w czasie „jazdy do nieba". Dzieci matek, które mają zajęte ręce kilkorgiem pociech i nie mogą sobie z nimi dać rady. Zabrane od nich, by uniknąć trudności przy biegu „do łaźni". Wszystkie tego rodzaju dziecięce odpryski

---

[38*] *Du kommst ins Lazaret* (niem.) – Idziesz do lazaretu.

[39] Leon Weliczker, *Brygada śmierci*, Łódź: Centralna Żydowska Komisja Historyczna, 1946. * Tekst opracowała sama Rachela Auerbach oraz poprzedziła go *Uwagami wstępnymi* (s. 11–23).

[40*] W oryginale Auerbach używa określenia jid. *bahandlug*. Jak pisze Nachman Blumental: „w oficjalnych dokumentach lekarz żydowski nosi nazwę *Behändler* (a nie *Arzt*!), chociaż z drugiej strony – zostawia się mu często tytuł *Dr.*". Nachman Blumental, *Słowa niewinne*, Kraków–Łódź–Warszawa: Centralna Żydowska Komisja Historyczna, 1947, s. 93.

[41] Łukaszkiewicz mówi tu o ławkach.

zostają załatwione w lazarecie. Jeśli „załatwiający” jest człowiekiem zręcznym i litościwym, bierze takie dziecko za nóżki, rozbija mu główkę o ścianę lazaretowej budy i dopiero potem wrzuca do płonącego dołu. Jeśli nie – ciska je żywcem, bez ceregieli. Z dziećmi nie ma niebezpieczeństwa, że będą próbowały się wydostać z dołu i trzeba się będzie nimi znów zajmować. Dlatego w Treblince, jak i w innych miejscach, w wielu przypadkach wrzuca się je do ognia albo do zwykłych grobów żywcem. Po pierwsze, słuszne jest po prostu zaoszczędzić kulę albo trochę gazu tam, gdzie można się bez tego obyć. Po drugie, możliwe, że od kuli albo gazu dzieci nie umierają tak łatwo i szybko jak dorośli. Lekarze pochylali się już nad tym fenomenem i doszli do wniosku, że przyczyną jest tu lepsze krążenie krwi u dzieci, które mają jeszcze niezatkane żyły.

Dygresja. Nauka o wyniszczaniu

Warto dodać, że w Treblince, jak w innych podobnych miejscach, dokonuje się dalszych odkryć naukowych w dziedzinie wyniszczania. Dla przykładu, taka naprawdę oryginalna obserwacja jak ta, że kobiety palą się lepiej niż mężczyźni.

„Mężczyźni bez kobiet nie chcą się palić”.

To nie jest jakiś niesmaczny dowcip, dwuznaczna gra słów na makabryczny temat. To po prostu autentyczny cytat z rozmów, które prowadzono w Treblince. Stwierdzenie faktu.

Łatwo też zrozumieć przyczynę. Kobiety mają więcej tkanki tłuszczowej. Dlatego też bierze się je na podpałkę albo, lepiej – rozpałkę stosów zwłok.

Jak używa się węgla kamiennego do rozpalenia koksu…

I krew jest pierwszego gatunku materiałem palnym.

Inne empiryczne rewelacje z tej dziedziny:

Młode zwłoki palą się szybciej niż stare. Bardziej miękkie mięso – jasne. Różnica taka sama jak między cielęciną a wołowiną. Ale świadomość tego faktu zawdzięczamy niemieckiemu przemysłowi trupów.

Dość długo trwało, zanim wypracowała się zarówno technika, jak i terminologia tej nowej gałęzi przemysłu. Zanim wykształcili się biegli specjaliści w niszczeniu ludzi, a następnie zwłok. W treblińskim protokole znajdujemy takie wyrażenie: „Spalanie zwłok nabrało właściwego impetu, gdy przybył tu instruktor z Oświęcimia”[42]. Specjaliści tego nowego fachu wzięli się do roboty rzeczowo, praktycznie, z oddaniem. Instruktora od palenia nazywali treblińscy Żydzi *Tadellos*, bo słowo „*tadellos*” było jego „zawołaniem”. „*Gott sei dank, nun brennt es tadellos*” [Bogu dzięki, pali się bez zarzutu] – zwykł mówić, gdy udało się już, z pomocą co

[42] Chodzi tu prawdopodobnie o jedno z zeznań spisanych przez sędziego Łukaszkiewicza. W protokole wizji lokalnej czytamy: „Technika palenia trupów przy pomocy materiałów łatwopalnych z czasem została udoskonalona, szczególnie odkąd przybył specjalny instruktor z Oświęcimia”. Por. AŻIH, Obozy, 209/41, Odpis sprawozdania Głównej Komisji dla Zbadania Zbrodni Hitlerowskiej w Polsce zatytułowanego „Do Centralnego Komitetu Żydów Polskich w Warszawie”, z pobytu komisji na polach byłego obozu Treblinka, 1945 r., k. 3.

tłustszych kobiet i ropy naftowej rozpalić stos trupów. Na lwowskich „piaskach" żydowska brygada śmierci mogła przy takiej okazji otrzymać od komendanta beczułkę piwa. Zawołaniem tamtego było: „*Nur anständig und sauber*" [Tylko czysto a przyzwoicie]. Zwłoki wszędzie nazywano „figurami"[43]. Charakterystyczne jest, że w wielu obozach eufemizmem tym określano nie tylko martwych już Żydów, ale też tych jeszcze żyjących. Już zawczasu widząc w nich trupy, które tymczasowo spełniają, wedle niemieckiej woli, określone funkcje. Później też na rozkaz rozbiorą się, dostaną swoją kulkę albo porcję gazu i położą się razem z innymi „figurami"...

Jak dziwna, jak osobliwa jest nowa niemiecka rzeczywistość! I w sumie nie trzeba więcej niż abstrahować od określonych refleksów psychicznych – w tym niemieckim *jenseits*, po „drugiej stronie" drutów, poza zwykłymi ludzkimi uczuciami, Nietzscheańskie *Jenseits von Gut und Böse*[44] wreszcie się ziściło. Niemiecki przemysł wyniszczania przeżył w ten sposób w ciągu kilku lat wojny naprawdę imponujący rozwój.

Poszczególne bazy wyniszczania prowadzą wymianę doświadczeń. Dba się o stałą racjonalizację i ujednolicanie metod pracy.

Poza teoretycznym zapoznaniem się z ogólnymi zasadami terroru i destrukcji esesmani odbywają przede wszystkim **praktyczne** kursy bestialstwa w różnych „Sonderkommandach". Tak słynne jednostki, jak „Einsatz[stab] Reinhardt" w centralnej Polsce albo „Rollkommando" w Galicji ze swoimi pierwszej klasy specjalistami w dziedzinie przeprowadzania „akcji", „likwidacji", egzekucji bronią palną i w dziedzinie organizacji obozów śmierci – troszczą się także o następców, o kształcenie nowych kadr.

Gałąź palenia zwłok rozkwita po klęsce pod Stalinigradem. Od lutego 1943 roku, gdy już zawczasu zaczynają się przygotowania do opuszczenia w przyszłości zajętych terenów Europy Wschodniej – Goebbelsowskich *Faustpfänder*[45] – i Niemcy chcą zatrzeć ślady masowych mordów. Ta nowa gałąź, zarządzana z Berlina, zainaugurowana we wszystkich ważnych miejscach z wielkimi masowymi dołami osobistą wizytą Himmlera, wywiera wpływ na zmianę metody egzekucji przy likwidacji resztek Żydów z okupowanych terenów. Żydów nigdzie już teraz nie zakopuje się w dołach, nie strzela się do nich w otwartych grobach czy nad nimi. Aby nie trzeba było taszczyć trupów, dwa razy wykonywać tej samej roboty, do Żydów strzela się teraz tuż obok płonących stosów, twarzą do ognia. Zastrzelony dostaje kopa z tyłu, żeby nie upadł na plecy, ale przed siebie – prosto w ogień. Większe grupy rozstrzeliwuje się też niedaleko, a obsługa wrzuca zabitych do ognia w specjalny sposób. Gazuje się także w najnowszych zakładach à la Oświęcim, rzut kamieniem od krematorium. O drodze na śmierć nie mówi się już teraz, że „idzie

[43*] Por. Blumental, *Słowa niewinne*, s. 201.

[44*] *Jenseits von Gut und Böse* (niem.) – poza dobrem i złem.

[45*] *Faustpfänder* (niem.) – dosł. zastaw ruchomy, przen. zabezpieczenie, karta przetargowa w negocjacjach politycznych etc.

się do gazu” albo „do komory”, ale „do komina”. W Treblince, gdzie nie ma krematorium, tylko ogromne ruszty, też już w tym okresie nikogo się nie zakopuje. Każdy, kto idzie do komory, widzi już zawczasu płomienie, które tego samego dnia strawią jego ciało.

Dygresja psychologiczna

Kilka lat po pierwszej wojnie światowej ukazała się – jeśli się nie mylę w dwóch tomach – wyczerpująca *Sittengeschichte des [ersten] Weltkrieges* [Historia obyczajów (pierwszej) wojny światowej], opracowana przez żydowsko-niemieckiego psychiatrę i seksuologa Magnusa Hirschfelda. Wiele miejsca zajmowała w tej pracy analiza zbrodni wojennych. Zresztą, w większości zbrodni niemieckich.

Byłoby więcej niż warto, by pewnymi zjawiskami z [czasu] ostatniej wojny zaczęli się zajmować niemieccy badacze. Są bliżej obiektu badawczego i przyjdzie im może łatwiej wyjaśnić psychologiczne i psychospołeczne mechanizmy niemieckich zbrodni masowych. **My** możemy raczej zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. Notować fakty.

W Treblince znajduje się od 30 do 40 niemieckich esesmanów, do tego od 200 do 300[46] ukraińskich strażników, i to wszystko. Oto cała katowska drużyna zmotoryzowanego, zautomatyzowanego Mordbetriebu, do którego sprawnej obsługi nie trzeba wielu ludzi.

Co to za ludzie?

Jak – oni mogą?!

Fakt: widok przerażającego żywiołu katastrofy, obraz najbardziej wstrząsającej masowej tragedii, na jaką patrzyło kiedykolwiek ludzkie oko, nie robi na Niemcach, którzy są tu „zatrudnieni”, najmniejszego wrażenia. Otchłanie ludzkiego cierpienia, które otwierają się tu co chwila, rozdzierające sceny rodzinne, jakie rozgrywają się tu na każdym kroku, nie wywołują w nich żadnego oddźwięku, nie odciskają na ich duszy żadnego piętna. Wydaje się, że prosty, elementarny refleks współczucia całkiem u nich zanikł. Ich nerwy doskonale znoszą to, co najstraszliwsze.

A nie są przecież tylko pasywnymi widzami rozgrywającej się tu tragedii…

Ich nie dotyka to nieszczęście i to wystarczy, by zapewnić im doskonałe samopoczucie. Właśnie wobec czeluści ludzkiego upodlenia, w którą osuwają się na ich oczach całe gromady Żydów, czują się nieskończenie wspaniali i uwznioślени.

Słowem „sadysta” albo zarzutami: degeneraci, przestępcy, niewiele tu wyjaśnimy. Owszem, element przestępczy został przez ten „system” całkiem szeroko wykorzystany. Najosobliwsze antyspołeczne namiętności typów z półświatka, wszelkiej maści rzeczywistych lub potencjalnych kryminalistów, zostały wykorzystane

---

[46*] Jak podaje Andrzej Żbikowski, w Treblince zatrudniono 30–40 esesmanów oraz około 100 ukraińskich wartowników. Por. *idem*, *Posłowie* [w:] Willenberg, *Bunt w Treblince*, s. 173 oraz http://www.treblinka.bho.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=43&Itemid=43 (dostęp 30 IV 2012 r.).

jako siła napędowa reżimu. Niczym siła wody do poruszania turbin. *Staatswichtige* i *Kriegswichtige* źródło energii wyniszczenia. Narodowy skarbiec zła.

Do wielu obozów i więzień w krajach okupowanych sprowadzono niemieckich przestępców kryminalnych, którzy zostali zatrudnieni jako „kapo", „starsi baraku" itp., z zadaniem terroryzowania więźniów rekrutujących się z okolicznej ludności. Dano im w tym zakresie wolną rękę i nie trzeba ich było zbytnio zachęcać do pełnienia tej funkcji... Ochota i pomysły przyszły razem z władzą i zapałem własnym. Dalece przekroczyły wymaganą „normę" mordu i zbrodni.

Nie nazbyt też ciężko przyszło przekształcenie w narzędzia terroru niemieckich „przestępców politycznych", którzy w wielu przypadkach, najpierw ze strachu, później z rozbudzonej żądzy sadyzmu i władzy, pospołu z profesjonalnymi przestępcami dokonywali w więzieniach i obozach dzieła szpiegowania, maltretowania i terroryzowania „nie-Niemców". Rzecz jasna główną ofiarą każdego typu zbrodni padali wszędzie Żydzi.

Także okoliczny element z półświatka wypływał wszędzie w krajach okupowanych i stawał się najważniejszym „kolaboracjonistą" niemieckiego „nowego porządku". Agent, donosiciel, szpieg – narzędzia terroru, pałka nad głową ludności. Nawet wśród nas, Żydów, alfons i przestępca Szmaja Grajer[47] w roli żydowskiego dyktatora, kata i likwidatora lubelskiego getta – nie jest odosobnionym przypadkiem. Niemal każde getto miało swego większego czy mniejszego Szmaję Grajera. Nawet u nas Niemcy nauczyli się mobilizować półświatek, który w posępnej orgii mordu i prześladowań znalazł środek, by raz na zawsze policzyć się z „frajerem"; wyładować całą swą nienawiść i zazdrość wobec inteligenta, wobec człowieka społecznie produktywnego i społecznie zabezpieczonego. Próbować na jego rachunek utrzymać się przy życiu.

Ale to nie profesjonalni przestępcy, nie urodzeni lub inni sadyści, którzy w takiej czy innej roli siali postrach przede wszystkim w więzieniach i obozach koncentracyjnych, stanowią wielki psychologiczny i psychospołeczny problem największych hitlerowskich masowych zbrodni: obozów śmierci i masowych egzekucji. **Problemem są właśnie zwykli, prości, normalni Niemcy, którzy ze zrozumieniem i cichym opanowaniem porządnych funkcjonariuszy państwowych dokonali najpotworniejszych czynów, jakich kiedykolwiek dopuszczono się na świecie.**

Ich udział w masowych mordach jest procentowo największy!

Beznamiętnie, trzeźwo, z zimną krwią. I właśnie dlatego tak niebezpiecznie. Właśnie dlatego tak niezrozumiale.

[47*] Szmaja Grajer – z zawodu fryzjer, trudnił się też sutenerstwem. W czasie wojny aresztowany i osadzony na Zamku Lubelskim, wyszedł z aresztu jako współpracownik i informator gestapo. Stał się *de facto* „panem życia i śmierci" w lubelskim getcie. Wszystkie informacje podaję za: Tadeusz Radzik, *Lubelska dzielnica zamknięta*, Lublin: Wydawnictwo UMCS, 1999. Tam też można znaleźć bardziej szczegółowe informacje o działalności Grajera. Dostępne w internecie: http://www.biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/Content/8868/Lubelska_dzielnica_zamknieta.pdf (dostęp 30 IV 2012 r.).

Czytamy i słuchamy, co ci „normalni Niemcy” zwykli czynić i myślimy: może ci ich rasiści mają jednak rację? Może Niemcy to naprawdę ludzie z innej krwi i z innych kości, jakiejś innej rasy?

Jasne, że frazesy z Rosenbergowskich teorii i gładkie zdania z Goebbelsowskiej propagandy nie mogły dokonać takiej przemiany w naturze ludzkiej. Ich tezy o „misji niemieckiego ducha” i wszystkiego innego, co niemieckie, były jedynie bardzo przezroczystym żargonem wewnętrznym, który każdy Niemiec obdarzał całkiem innym znaczeniem, i to znacząco prostym[48]. Tezy te celowo i podstępnie nie odwołują się do żadnego idealizmu, ale do drapieżnej żądzy rabunku, do narodowego i osobistego egoizmu, do narodowej i osobistej megalomanii. To także są pierwotne uczucia. Jak w przypadku społeczno-kolektywnego organizmu hitleryzm wspiera swą władzę na najniższym i najgorszym elemencie, tak w przypadku jednostki odwołuje się do najniższych instynktów, do najniższych impulsów.

Niewolnicze podporządkowanie niemieckiej jednostki reżimowi z jednej strony, a z drugiej – przyznanie jej w okupowanych krajach nieograniczonej władzy nad całymi grupami ludności, nad śmiercią i życiem tysięcy, dziesiątek i setek tysięcy ofiar – tworzy szczególną koniunkturę psychospołeczną. I to wystarczyło. Niemiecka **propaganda bezgranicznego narodowego egoizmu i megalomanii, wychowanie do szatańskiego albo w każdym razie do tchórzliwego wykonywania najpodlejszych i najbardziej zbrodniczych rozkazów** wywarły wpływ niemal na każdego Niemca.

Wygląda na to, że im więcej się zabija, tym bardziej samemu chce się pozostać przy życiu. Tym ważniejsza staje się własna, nędzna egzystencja.

Nic bardziej banalnego w Treblince niż śmierć. Ale nie ich śmierć, śmierć katów – o nie! Trzęsą się tu nad swoim życiem bardziej niż gdzie indziej. Cały ich zapał do „pracy” bierze się w znacznej mierze z tego, że dzięki przybyciu do „Sonderkommando Treblinka” esesmanom udało się uniknąć wysłania na front. To jest istotą. Ale przybycie do komanda to nie wszystko. Trzeba jeszcze dowieść, że jest się godnym tu pozostać. Jeśli pokażą się jako wyjątkowo biegli i uzdolnieni w branży tępienia, będą mogli tu zostać, awansować. To szansa i o tę szansę konkurują ze sobą esesmani, licytując się jeden z drugim w bestialstwie.

Strach to jeden z najpotężniejszych i najbardziej deprawujących instynktów. Na strachu też, albo przede wszystkim na strachu, hitleryzm opiera swoją władzę nad niemieckim narodem. I jako architektonikę, hierarchię strachu można też rozpatrywać ten system.

Wśród morza bezgranicznej brutalności, sadyzmu, cynizmu słyszałam tylko o jednym przypadku, by jakiś Niemiec z Treblinki wyraził się, że woli raczej iść na front, niż przyglądać się temu, co tam się odbywa. Było to jednak zapewne na początku jego kariery. Tydzień później mógł już należeć do najgorszych ze złych. Słyszałam o takiej metamorfozie pewnego pastora, a także nauczyciela. Nie brakowało

[48*] W oryginale gra słów: *pszat* (znaczenie, szczególnie znaczenie podstawowe, dosłowne) i *poszet* (prosty).

też przedstawicieli niemieckiej arystokracji (baron [Theo] von Eupen w Treblince)[49]. Jak również nauki, medycyny (w innych obozach). Wszyscy, w zgoła szybkim tempie, pogodzili się z „nową niemiecką rzeczywistością". I całkiem nieźle się w niej czuli.

Bylibyż oni wszyscy choć zawołanymi antysemitami, hitlerowcami, demonami, mordercami? Nie! Nawet to, co diabelskie jest tu bardzo trywialne i małe. Demoniczne i makabryczne zostaje rozmienione na drobne codziennego życia. Największą hańbą narodu niemieckiego jest to, że prześladowali niewinnych, bezbronnych ludzi, mordowali mężczyzn i kobiety, starców i chorych, maleńkie dzieci wyrwane gwałtem z matczynych ramion – najczęściej z powodu niskich i najmniejszych motywów. Tchórzliwi i do bólu pospolici – małe trybiki kolosalnej zbrodniczej maszyny.

A my byliśmy jej przedmiotem. Oko w oko z obłąkanym i tępym, płaskim i pospolitym diabłem. Bezsilni i bezbronni. **Zostawieni samym sobie**, samotni, zgubieni. Ze związanymi rękami i nogami i sparaliżowaną duszą.

Niemiecka idylla

Zawsze krzepcy, zawsze sprawni, żwawi, rześcy. Tacy są Niemcy w Treblince.

„Młody naród o świeżych instynktach, sprawny biologicznie" – nazywa się to w ich języku.

Aby nieco ubarwić monotonię morderczego rzemiosła śmierci, Niemcy instalują w Treblince, na wzór innych obozów, żydowską orkiestrę. Z podwójnym celem. Po pierwsze, by zagłuszyć, jak dalece to możliwe, krzyk i płacz pędzonych na śmierć ludzi. Po drugie, by dostarczyć muzycznej rozrywki obsłudze obozu. Dwa muzykalne narody – Niemcy i Ukraińcy! Własna kapela potrzebna jest też na częste zabawy i uroczystości, które się tu odbywają. Z czasem zostanie zorganizowany chór, pojawią się też amatorskie przedstawienia teatralne, tylko wybuch powstania zaburzył ten piękny plan rozwoju kultury i sztuki w Treblince.

Wśród skazanego na śmierć *Juden-Scheisse*[50] można znaleźć wszystko, czego tylko dusza zapragnie. W dawnych czasach żaden dowódca, podbiwszy jakiś lud, nie mógł cieszyć swego serca takim bogactwem. Prawdziwe *Schlaraffenland*[51] niewolników ze specjalnymi umiejętnościami.

Potrzeba muzyków – są muzycy, śpiewaków – są śpiewacy (koniec końców Żydzi też są muzykalnym narodem!). Nawet plastycy się przydają – ozdabiają słupy i bramy wież strażniczych symbolicznymi reliefami. Jeśli znów potrzeba krawców,

[49] Komendant obozu karnego Treblinka I [Theo] von Eupen, dobrze znane indywiduum wśród treblińskich katów. Jak mówi część świadków, był on baronem i do tego pisarzem. Inni podają, że był adwokatem. Pewne jest, że wyróżnił się wielką fantazją i sadystyczną inwencją. Trzymał w obozie piękne konie do ujeżdżania i psy, a do jego najczęstszych zabaw należeć miało tratowanie ludzi pod kopytami koni.

[50*] *Judesscheisse* (niem.) – żydowskie gówno, od *Juden* – Żydzi, *Scheisse* – gówno.

[51*] *Schlaraffenland* (niem.) – kraina mlekiem i miodem płynąca, Kukania.

szewców, rymarzy – jeden gwizd, i już ma się najlepszych fachowców, ilu tylko się zapragnie. Podczas akcji w gettach Żydzi przecież jeszcze dopłacali za to, by móc być wykorzystanymi do darmowej pracy niewolniczej. Dziś dopiero tu, gdzie ich ciało i dusza nie są naprawdę warte nawet złamanego grosza, jeśli od czasu do czasu niemieckiemu dowódcy obozu zachce się zlikwidować tego czy innego fachowca, wybiera sobie z najbliższego transportu – świeżego. Gdy z kolei, na przykład, transporty zaczęły przychodzić nieco rzadziej, a trzeba było na początku 1943 roku kilkuset robotników do żwirowni w Treblince I – wysyła się paru „chłopców” z „Sonderkommando” do Warszawy. Resztę towarzystwa i „przybory” potrzebne do małej akcji znajdzie się na miejscu. Przywożą świeże siedem, osiem tysięcy Żydów, żeby było z kogo wybierać. Tak czy inaczej, trzeba do końca roku „przepuścić” to całe „*Scheisse*” przez komory. Wielka różnica – wcześniej czy później! Tych robotników potrzebuje Herr von Eupten, jedzie więc z wycieczką, staje na jej czele. Taki „rajd”. Jak zimowe polowanie w kraju, który słynie ze specjalnego gatunku zwierzyny leśnej. Możliwe, że to jest tajemnica styczniowej akcji w getcie warszawskim[52].

A Żydzi tak sobie łamali nad nią głowy. Pierwszy raz przy tej okazji stawili opór niemieckim „myśliwym”…

We Lwowie komendant żydowskiej brygady śmierci chce porządnie ubrać „swoich” Żydów, żeby mieli się w co przebrać po śmierdzącej robocie. Przywozi więc z miasta dwie placówki zamożnych Żydów i w ten sposób dotrzymuje swojej obietnicy[53].

Na czele treblińskiej orkiestry stoi dyrygent jednej z najlepszych przedwojennych orkiestr tanecznych w Warszawie Artur Gold[54]. Przed nim była inna kapela klezmerów[55]. Przez Treblinkę przeszło muzyków a muzyków. Większość miała ze sobą swoje instrumenty. Widzieli rodziny znikające w komorach gazowych, a sami pozostali w tym miejscu jeszcze trochę czasu. Stali tu każdego dnia i koncertowali – treblińska „muzyka placowa”. Na żydowskich robotników i ludzi pędzonych na śmierć muzyka miała fatalny wpływ. Do reszty rozbijała ich psychicznie. Dla Niemców stanowiła jednak *Entspannung*[56]. Pokrzepienie nerwów.

---

[52] Tzw. akcja styczniowa trwała od 18 do 21 I 1943 r. Przypadła na czas, gdy dotarła wiadomość o wielkiej klęsce pod Stalinigradem. Dzień wcześniej nastąpiły wielkie łapanki po polskiej stronie. Możliwe, że fala terroru w Warszawie miała jakiś związek z wiadomością o tej klęsce.

[53] Leon Weliczker, *Brygada śmierci*, [s. 66–68].

[54*] Artur Gold (1897–1943) – kompozytor, skrzypek, wraz z Jerzym Petersburskim prowadził w Warszawie w latach 1925–1930 (grywali później sporadycznie do 1935 r.) legendarną dziś orkiestrę taneczną. Autor wielu szlagierów do słów Andrzeja Własta czy Mariana Hemara. W getcie warszawskim prowadził własną orkiestrę. Zamordowany w Treblince. Zob. też Willenberg, *Bunt w Treblince*, s. 80–81.

[55] Wedle świadectwa Abrama Krzepickiego, w sierpniu 1942 r. grała w Treblince kapela złożona z czterech klezmerów z okolicznego miasteczka, Stoczka.

[56*] *Enstpannung* (niem.) – relaks, odprężenie, wypoczynek.

Muzyka kwitnie. Treblinka ma nawet swój specjalny marsz. Trebliński hymn. Lokalna produkcja – zarówno muzyka, jako też tekst. Śpiewali go Żydzi na apelu. Przy wymarszu do pracy. Oto ostatnia strofa treblińskiego hymnu:

Die Arbeit soll alles hier bedeuten
Und auch Gehorchsamkeit und Pflicht;
Wir wollen weiter, weiter leisten
Bis unser kleines Glück uns einmal winkt[57].

Rozumiecie – „małe szczęście" – chodzi tu oczywiście o kulę dla chorego w lazarecie...

Do muzyków z orkiestry esesmani odnoszą się do pewnego stopnia łaskawie. Skracają czas pracy albo zwalniają ich od niej całkowicie, żeby mogli organizować próby. Kiedy przychodzi do likwidacji, likwidują oczywiście bez mrugnięcia okiem. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim, to tak jak gospodarz, który hoduje sobie cielątko albo świniaka. Jak trzeba je ubić – czyż się go nie ubija?

Uprawnia się tu także sport. Lekkoatletykę. Boks. Sportowcy cieszą się – do pewnego czasu naturalnie, aż do ich „pożałowania godnej" likwidacji – przywilejami. Lepsze jedzenie, mniej pracy. Organizuje się zawody.

Ach, jakże im tu przyjemnie, Niemcom! Jak pielęgnują swoje tradycje i przyzwyczajenia, obmyślają, jakby tu się rozerwać, rozweselić. Treblinka wyróżnia się wśród innych obozów przede wszystkim humorem, mnóstwem humorystycznej inwencji.

W drobnych szczegółach wyraża się kreatywność ludzkiej natury.

Oto jeden z takich drobiazgów.

W innych obozach załatwianie naturalnych potrzeb jest również związane z wszelkiej maści szykanami i niebezpieczeństwami. Przede wszystkim z ograniczeniem czasu. Dla przykładu, w Obozie Janowskim we Lwowie funkcjonują *Scheisskarten* i życiem płaci się za ich „nieprawidłowe zastosowanie". W różnych obozach są jeszcze ekstra-„Scheissmeistrzy" odpowiadający za to, by nikt nie zabawił za długo tam, gdzie się chodzi na posiedzenia... Treblinka jednak posiada „Oberscheissmeistra". Oryginalność jego tkwi przede wszystkim w ubiorze – na poły Czerkies, na poły rabin, z budzikiem na piersi. Wyglądał tak komicznie, że – jak przekazują świadkowie – nawet Żydzi, którzy go żałowali, spoglądając nań, musieli się roześmiać. „Urząd" ten piastował częstochowski handlarz o bardzo charakterystycznej żydowskiej twarzy. Właśnie dlatego wybrali go do tej roli. Mogłabym tu podać

[57*] Praca musi tutaj znaczyć wszystko,/tak jak posłuszeństwo i obowiązek./Będziemy osiągać coraz więcej i więcej,/aż nasze małe szczęście zamruga do nas raz.

Inna wersja, cytowana w *Dokumentach i materiałach do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce*, t. 1, s. 193–194, oraz przez Samuela Willenberga, *Bunt w Treblince*, s. 97–98, podawana jest także na stronie Muzeum Walki i Męczeństwa Treblinka http://www.treblinka.bho.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=44&Itemid=44 (dostęp 30 IV 2012 r.). Wersja Auerbach różni się nieco od nich w trzecim i czwartym wersie: „Wir werden weiter, weiter Lei sten./Bis das kleine Glück gibt einmal ein Wink./Hu – Ha!".

dziesiątki historii o tragikomicznych sytuacjach, jakie się wokół niego zdarzały. Ale – Boże, mój Boże – nie będę tu pisać jakiegoś anegdotarium obozu śmierci! Chcę po prostu pokazać, do czego Niemcom służyła głowa, jak bardzo pragnęli rozrywki.

– Czemu tu się dziwić – powiedział mi kiedyś zwyczajny Żyd, świadek – młodzi, zdrowi, nażarci i napojeni, nasyceni seksualnie za żydowskie pieniądze, z kieszeniami pełnymi żydowskich brylantów, nie muszą iść na front – czego im jeszcze brakowało? Organizowali więc sobie „zabawy” – na żydowski rachunek, to także. Z naszego wstydu, z naszego cierpienia.

Kolejna psychologiczna analiza pewnego Żyda. Może być, że całkiem trafna.

„Powitać” nowe transporty w piękne poranki wychodzi cały sztab esesmanów, ogolonych i wypoczętych. W znakomitym stanie umysłu i ciała. Komendanta obozu poznaje się po białych rękawiczkach, w których trzyma swój wspaniały pejcz z delikatnej, szlachetnej skóry. Złota polska jesień jest tak piękna! Gdy pogoda pozwala – we wrześniowe dni warszawskiego „kotła”[58] słońce piekło jak w środku lata – komendant wychodzi na apel także w białym mundurze. Dopóki na zewnątrz jest ładnie, trzeba jeszcze przewietrzyć letnią garderobę.

W niemieckiej części obozu jest taki zakątek, gdzie hoduje się króliki, lisy, wiewiórki. Jest basen, w którym pływają kaczki, a zaraz sprowadzą tu i sarnę. Ów kącik z tymi zupełnie niegroźnymi zwierzętami nazywa się, z pretensjonalną prowincjonalnością, *Tiergarten*[59] i stanowi przedmiot dumy [jego twórców]. I warzywniak udało się zasadzić na tych piaskach. No i kwiaty, bardzo dużo kwiatów.

Pielęgnacją klombów zajmuje się specjalna grupa Żydów. Najpiękniejsze i najróżnorodniejsze kwiaty kwitną u wejścia do nowych komór gazowych[60].

Od czasu do czasu do Treblinki przybywają goście. Generałowie Wehrmachtu z Małkini, oficerowie SS z Lublina, z Białegostoku, z innych miejsc. Najpierw pokazuje się gościom z SS przedsiębiorstwo. Demonstruje różne fazy produkcji, z samozadowoleniem pozwala się podziwiać to „osiągnięcie”. Gdy pod koniec lutego 1943 roku przybywa tu Himmler, przygotowuje się nawet – jak można sądzić – specjalną atrakcję, partię młodych kobiet, które w tym celu wybrano, by pierwszy wśród esesmanów i dowódca policji Rzeszy miał czym nasycić wzrok podczas prezentacji tempa pracy w Treblince. W biegu „do łaźni”, przy wyrzucaniu gotowych trupów…

Jak mówi włoskie przysłowie: jeśli to nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone[61]. Że Himmler tu był, to pewne. Zaszczycił swą wizytą warsztaty i świadkowie rozpoznali go po fotografii w gazetach.

---

[58] Ostatnia faza pierwszej akcji w Warszawie, gdy resztę żydowskiej społeczności stłoczono na obszarze kilku ulic i przeprowadzono generalną selekcję, która trwała od 6 do 13 IX 1942 r. Liczbę osób, które wówczas wysłano, szacuje się na sto tysięcy.

[59*] *Tiergarten* (niem.) – ogród zoologiczny. Por. Willenberg, *Bunt w Treblince*, s. 87–91.

[60] Wedle zeznania Stanisława Kona (Kohna), na szczycie dachu tego budynku znajdowała się gwiazda Syjonu i napis „*Judenstaat*”. * Por. *Odpis zeznania świadka Stanisława Kona* [w:] Łukaszkiewicz, *Obóz straceń w Treblince*, s. 47.

[61*] W oryginale: *Se non è vero è ben trovato.* Powiedzenie to pochodzi z *Gli eroici furori* Giordana Bruna (1585).

Świadek S[zmuel] Rajzman przekazuje, że w kwietniu 1943 roku szacownym gościem treblińskiego przedsiębiorstwa miał być także generalny gubernator Hans Frank[62].

Po zwiedzaniu fabryki trupów znakomitych gości zaprasza się na posiłek. Coś się przekąsi, popije, porozmawia się, zapali papierosa. Następnie goście zostają odprowadzeni do czekających na nich pięknych aut. Uścisk dłoni, wojskowe honory i ręce wyciągnięte do góry: *Heil Hitler*.

Po odjeździe gości, jak to zwykle bywa, jest się trochę zmęczonym, myślami jest się w innym świecie. Trzeba jednak jeszcze na chwilę wrócić do pracy. Trzeba jeszcze zerknąć na plac apelowy. Może akurat przyjdzie zastrzelić paru Żydów. Może znów złapano wśród robotników żydowskiego oszusta ze spleśniałym kawałkiem chleba w kieszeni i trzeba będzie nad nim urządzić publiczny sąd, wymierzyć od 50 do 100 batów i rozkazać potem, by dać dobry przykład reszcie Żydów, powiesić go głową do dołu. Może się zdarzyć, że dziś uda się sprawę załatwić tylko kulą. Wszyscy są dziś w pogodnym nastroju. Nadeszły lepsze wieści z frontu. Wielki sukces obronny w Kerczu... W każdym razie z placu nie zejdzie się wcześniej niż po wysłuchaniu jakiejś mowy. Na rauszu znacznie lepiej się przemawia. I choć cała ta banda nie będzie już długo zanieczyszczać świata, to nie wolno przepuścić okazji, by trochę jej poprawić morałów. Wychowanie mniej wartościowych ludzi i narodów do porządku i poczucia obowiązku jest, jak wiadomo, jednym z najbardziej wzniosłych zadań esesmanów.

Później pójdzie się spacerem z powrotem do niemieckich baraków i położy na drzemkę. Może się zdarzyć, że dziś nawet uda się w ogóle wcześniej pójść spać. W końcu praca tu jest wyczerpująca, choć nie jest nieprzyjemna.

Słowem – idylla.

Dla niemieckiej obsługi Treblinka – miejsce służby na tyłach frontu – to naprawdę swego rodzaju dacza. Kłopot w tym, że nie możemy się już dłużej zatrzymać w niemieckiej części – panuje tu taki słoneczny nastrój! Musimy jednak wrócić do *clou* tych prowincjonalnych dóbr, do miejsca, w którym panuje największy *Höllenspektakel*[63] całego przedsiębiorstwa.

Tylko Niemcy mają w swoim języku takie słowo: „*Höllenspektakel*". Również „*Galgenhumor*"[64] jest słowem z niemieckiego leksykonu.

[62*] Samuel Rajzman: „Podczas mojej bytności w Treblince [Himmler] był tu dwa razy. Nie wolno wtedy było wyjść na plac, ale ja stałem w drzwiach baraku i widziałem go. Mam podejrzenie, że również Hans Frank tam był". Samuel Rajzman, *Mój pobyt w Treblince* [w:] *Dokumenty i materiały do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce...*, t. 1, s. 184.

[63*] *Höllenspektakel* (niem.) – piekielny wrzask, hałas, wrzawa, od niem. *die Hölle* – piekło, *der Spektakel* – hałas, wrzawa. W kontekście jednak trzeba to wyrażenie rozumieć jako „piekielny spektakl, widowisko" (w niem. *das Spektakel* – spektakl, widowisko, też: teatralne wydarzenie).

[64*] *Galagenhumor* (niem.) – wisielczy humor, od niem. *der Galgen* – szubienica.

Okienka, by zajrzeć do środka

Ile byśmy już nie wysłuchali i nie przeczytali o Treblince, zawsze dowiadujemy się czegoś nowego. Czegoś takiego, co na nowo rozpala nasz ból i gniew nie do zniesienia. Czegoś takiego, co znów sprawia, że nie można zasnąć w nocy.

Ot, na przykład długo żeśmy myśleli, że agonia w komorach gazowych, w której uduszono większość naszych krewnych i przyjaciół, trwała 20–25 minut, najwyżej pół godziny. Z opisu Jankiela Wiernika dowiedzieliśmy się, że w nowych komorach w Treblince, bardziej przestronnych niż stare, umieranie trwało dłużej – często do godziny – bo motor rosyjskiego czołgu, który swoimi spalinami obsługiwał komory, ledwo wystarczał na powiększoną przestrzeń, na poszerzone rury. Nie był dostatecznie wydajny i mocny. Wiernik wspomina przy okazji, że czasami zostawiano stłoczonych w komorach Żydów na całą noc, w ogóle nie wpuszczając gazu. Kończyło się powietrze do oddychania i ludzie w znacznym procencie umierali z braku tlenu, zanim jeszcze zaczęło się gazowanie[65]. I oto przyszedł Jechiel Rajchman, który podobnie jak Wiernik pracował na tym szczelnie izolowanym od reszty obozu terenie, gdzie znajdowały się komory gazowe.

Gdy do Treblinki w pierwszych zimowych miesiącach 1943 roku zaczęły rzadziej przychodzić transporty, najwyżej 2–3 tygodniowo, żydowscy robotnicy, pozbawieni jedzenia z przychodzących coraz to świeżych transportów, zaczęli głodować. Niemieccy i ukraińscy esesmani znów zaczęli się nudzić. W dni, kiedy przyjeżdżały tylko pojedyncze transporty i dalsze nie były zapowiedziane, niemiecko-ukraińska obsługa z motorniczym Iwanem organizowała sobie inną rozrywkę, dystrakcję, by tak rzec.

W korytarzu wzdłuż komór znajdowały się szklane wizjery, takie okienka, przez które można zajrzeć do środka. Okienka, wedle swej konstrukcji, służyć miały celom praktycznym. Rzucić okiem: może trzeba wpuścić jeszcze trochę gazu? Sprawdzić, czy jedna szychta jest już gotowa, czy można już otworzyć klapy, wyrzucić zwłoki i zamówić jednocześnie telegrafem kolejną zmianę? Teraz jednak oprócz tych funkcji użytkowych zaczęły zaspokajać jeszcze inny rodzaj niemieckiej ciekawości.

Ciekawość, jak wiemy, jest matką nauki.

Wspomniane okienka często były po brzegi wypełnione głowami esesmanów, **którzy obserwowali masową śmierć!**

[65*] W swojej relacji *Rok w Treblince* Wiernik pisał: „Jak wspomniałem, w komorach ciasno. Duszą się ludzie od samego tłoku. Motor również źle funkcjonował w nowych komorach. Nieszczęśliwi męczyli się całymi godzinami, nie mogąc zginąć. Sam szatan nie wymyśliłby straszniejszych mąk. Gdy otwierano kamery [!] często było jeszcze dużo na wpół żywych, których kolba, kula lub mocniejsze kopnięcie dobijały. Często wpuszczano ofiary do komór na całą noc i nie puszczano w ruch motoru. Ciasnota i duszność robiły swoje, zabijając większy procent wśród strasznych mąk. Ale dużo pozostało żywych, przeważnie dzieci były odporne. Te po wyrzuceniu ich z komór żyły. Ale wszystkich dobijał rewolwer niemca” (s. 9–10).

Ekstrauczta zdarzała się, **gdy Iwan miał czas, by pompować powietrze i wpuszczać spaliny na raty**, albo w ogóle nie dawać gazu, nic nie robić, zostawić Żydów w środku, czekać, aż za hermetycznie zamkniętymi drzwiami będzie coraz mniej tlenu, coraz mniej...

Obserwowano, jak wybałuszają się oczy, języki wypychają się na zewnątrz, usta wykrzywiają. Jak dziecko, podniesione do góry przez matkę, by nie zostało zgniecione, siedzi sobie wysoko żywe, gdy matka stoi z głową opuszczoną na ramiona, a jej ramiona już sztywnieją...

Jakże ciekawie było sprawdzić, jak długo Żydzi wytrzymają...

Eksperyment przy okazji mógł być całkiem poważny i znaczący. Może z czasem znajdzie się taką metodę, że spaliny naprawdę będą już zbędne i duszenie ludzi przestanie cokolwiek kosztować. Mechanika całkowicie wyprze chemię. Treblinka ma ambicje. Treblinka dokonałaby w takim wypadku prawdziwego przewrotu. Otworzyłoby to nową epokę w technice unicestwienia. Podstawą jest tu rzecz jasna hermetyczna izolacja. Tymczasem jednak cała bezsilnikowa procedura trwa nieco za długo.

Zanim wszyscy Żydzi w komorze przestaną dawać jakieś oznaki życia, mija czasami 48 godzin![66]

Czy wyobrażacie sobie, jak wyglądają w oczach duszonych Żydów twarze tych, którzy obserwują ich przez okienka?

Odległe – i naturalnie słabe – pojęcie o tym mieli może nasi kaznodzieje, którzy zwykli straszyć grzeszników diabłami, mającymi ich dręczyć po śmierci w grobie.

Fryzjer

Jechiel Rajchman pracował przy komorach gazowych najpierw jako „fryzjer", a potem jako „dentysta" przy wyrywaniu złotych zębów umarłym[67]. Jako fryzjer pracował Rajchman tylko trzy dni. Nie zważając jednak na to, że był później w Treblince ładnych parę miesięcy, widział i wytrzymał tam przez ten czas o wiele więcej, niż będzie chciał wierzyć amerykański czy angielski czytelnik – te trzy dni uważa on za najstraszliwsze.

– Czuję, że tracę zmysły, gdy o tym myślę – mówi Jechiel. Opanowany, cichy blondyn. – Nie wolno mi o tym myśleć.

Golił kobietom włosy przed śmiercią. Były takie naiwne, które dopytywały się jeszcze, co z nimi tu będzie:

– Niech mi pan powie, co z nami zrobią?

Wpatrywały się w jego usta, czekając, aż zaprzeczy, uspokoi...

[66*] Por. Jechiel Rajchman, *Ocalałem z Treblinki. Wspomnienia z lat 1942–1943*, tłum. Bella Szwarcman-Czarnota, Warszawa: Czytelnik, 2011, s. 52.

[67*] Zadaniem „dentystów" było nie tylko wyrywanie złotych zębów, lecz także wszelkich plomb wykonanych z metalu, sztucznych zębów oraz mostków. Por. Rajchman, *Ocalałem z Treblinki...*, s. 50.

Były takie, szczególnie młode dziewczyny, które prosiły „fryzjera”, by nie golił ich maszynką aż do samej skóry. Żeby zostawił im chociaż krótkie loki. Może chciały w ten sposób same siebie uspokoić, że naprawdę strzyże się je z powodów higienicznych. Przez kąpielą w „*Badeanstalt*”. A bo to mało upokorzeń tego rodzaju doznały, jeszcze w owych „dobrych czasach”, gdy Żydzi otrzymywali urzędowe zezwolenia na jazdę koleją, ale musieli do tego przedłożyć *Entlassungsschein*[68], gdy najelegantsze damy musiały w tym celu dać się ogolić w związku z podejrzeniem, że są zawszone... Większość kobiet w Treblince dobrze już teraz wiedziała, za dobrze... Po wrześniu 1942 roku w Polsce trudno już było nie wiedzieć...

Czy czujecie ten moment strzyżenia włosów kobiety? Owo „osadzenie na tronie” żydowskich oblubienic[69] przed ich czarną chupą! Sam diabeł trzymał do tej ceremonii czarne świece. Blask ich płomyków zastygł w martwozielonych oczach owego „fryzjera”.

Czytałam w monografii Stefana Zweiga[70], jak rankiem, przed wyprowadzeniem na szafot, obcięto w celi włosy Marii Antoninie. Gdzieś indziej czytałam o skazanych na śmierć, którym w jednej chwili siwiały włosy, w momencie gdy nożyce kata zbliżały się do szyi przy ścinaniu włosów przed egzekucją.

W Treblince i w innych miejscach było żydowskich Marii Antonin setki, tysiące. Od szóstego roku życia, od pierwszych warkoczyków.

W świetle liczb

Ilu Żydów zamordowano w Treblince? Dokładnej liczby być może nigdy nie uda się ustalić z naukową precyzją. Szacunki wspierają się na dwóch źródłach. Zeznaniach [żydowskich] uciekinierów[71] i dokumentach kolejowych ze stacji w Treblince. Niestety, tych dokumentów zachowała się tylko niewielka część. Reszta zaginęła w czasie działań wojennych. Państwowej komisji śledczej udało się jednak ustalić prawdopodobną minimalną liczbę Żydów zamordowanych w Treblince.

Na podstawie tego, co ustaliła komisja i co możemy wywnioskować sami, uważamy, że liczba trzech milionów Żydów zamordowanych w Treblince, podawana przez różnych autorów, jest absolutnie zbyt duża i trzeba ją zmniejszyć do najwyżej miliona.

[68*] *Entlassungsschein* (niem.) – karta wypisowa.

[69*] *bazecn* (jid. dosł. usadzenie) – żydowski zwyczaj weselny. Przed chupą, czyli ceremonią zaślubin, wyprawia się przyjęcie (*kaboles ponem*), osobne dla każdego z narzeczonych (młodzi nie mogą się widzieć na tydzień przed ślubem). Na przyjęciu panny młodej sadza się ją (*bazecn*) na zdobionym, przystrojonym krześle, który przypomina tron, a narzeczona przyjmuje życzenia. Terminem *kale bazecn* określa się całe przyjęcie panny młodej.

[70*] Chodzi o książkę *Marie Antoinette. Bildnis eines mittleren Charakters* (1932), wydaną po polsku w przekładzie Zofii Petersowej. Miała ona wiele wydań, przedwojenne to: Warszawa 1933, 1935.

[71*] Łukaszkiewicz w książce *Obóz straceń w Treblince* odwołuje się również do zeznań polskich świadków.

Masowe egzekucje w Treblince zaczęły się w Tisza be-aw[72], 23 lipca 1942 roku, i zakończyły definitywnie w połowie sierpnia 1943 roku. Najwięcej transportów przybyło tu od sierpnia–września aż do połowy grudnia 1942 roku. Pod koniec sierpnia nastąpiła tygodniowa przerwa z powodu nagromadzenia zbyt wielu trupów i zbyt wielu ubrań, z którymi nie sposób było dać sobie rady. Odliczając ten tydzień, zostaje cztery i pół miesiąca, w tym 144 dni pełnej produkcji komór gazowych! Według wszystkich przesłuchanych świadków do Treblinki przyjeżdżały zwykle 1–3 transporty dziennie. Każdy transport liczył średnio 60 wagonów. W każdym wagonie od 80 do 150 osób. Liczni świadkowie podają, że bywały dni, gdy transporty przyjeżdżały wyładowane ponad przeciętną, i to więcej niż trzy dziennie. Gdy komory gazowe pracowały do pierwszej w nocy i załatwiały do 20 tysięcy trupów na dobę. Zdarzały się jednak dni, gdy transporty były o wiele mniejsze i całkiem małe, szczególnie transporty z Niemiec, Czechosłowacji i innych państw europejskich. Żydzi przyjeżdżali stamtąd w pociągach osobowych, które nie były tak przepełnione (przywoziły tylko wiele paczek i specjalne wagony bagażowe). Poza tym musimy wziąć pod uwagę, że świadkowie mogą uznawać za transporty każde 20 wagonów, które wjeżdżały ze stacji Treblinka na bocznicę obozu. Jak już wspominałam, każdy z transportów zatrzymywał się na stacji Treblinka i był w kilku częściach przestawiany z pomocą specjalnej lokomotywy na rampę, która znajdowała się w przedniej części obozu (na rampę, którą kończyła się bocznica i która znajdowała się już za bramą, na ogrodzonym terenie obozu, nie mogło wjechać więcej niż 20 wagonów).

Przyjmujemy zatem, że w „szczycie sezonu" treblińskiej „produkcji" do obozu przybywał średnio jeden 60-wagonowy transport dziennie, w każdym wagonie po 100 osób. Daje to – średnio 6000 osób dziennie razy 144 dni – sumę około 864 tysięcy osób.

Od połowy grudnia do połowy stycznia, w czasie chrześcijańskich świąt, nastąpiła przerwa, czas urlopów. Po przerwie transporty stały się o wiele rzadsze. Do Treblinki przyjeżdżały dwa, najwyżej trzy transporty tygodniowo. W marcu i kwietniu nie było niemal żadnych transportów. Ostatni transport, którzy widzieli żydowscy świadkowie, przybył w połowie maja, z ludźmi deportowanymi po powstaniu w getcie[73].

[72*] Tisza be-aw (hebr. dziewiąty dzień miesiąca aw) – najsmutniejsze z żydowskich świąt, kiedy wspomina się zburzenie Pierwszej i Drugiej Świątyni. Obowiązuje wówczas post i częściowa żałoba.

[73] Sędzia Łukaszkiewicz w swojej cytowanej tu pracy przyjmuje, że w Treblince zginęło ok. 800 tysięcy Żydów. [przyp. CŻKH]. * Por. *idem*, *Obóz straceń w Treblince*, s. 33–40. W opracowaniu opublikowanym w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce" Łukaszewicz podaje mniejszą liczbę: 731 600, dodaje wszelako: „biorąc pod uwagę daleko idącą ostrożność przy obliczaniu przez śledztwo ilości transportów oraz przeciętnej liczby osób w wagonach, uznać należy za wysoce prawdopodobne, że w rzeczywistości liczba ofiar była większa". Por. *Obóz zagłady Treblinka*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce" 1946, t. 1, s. 142. Już w 1947 r., pisząc o wielkim

Od lutego 1943 roku treblińską „produkcję” przestawiono na palenie zwłok, które wówczas wyciągano z grobów. Po buncie w Treblince, który wybuchł 2 sierpnia 1943 roku – kiedy spalono większość budynków, zabito część Niemców i Ukraińców, a większość Żydów zginęła w walce lub uciekła – pozostała jednak część zabudowań, przede wszystkim murowany barak z komorami gazowymi, w których jeszcze do września 1943 roku gazowano pojedyncze transporty Żydów. Mamy dokładne dane co do transportów z Białegostoku[74]. Biorąc pod uwagę wszystkie te informacje, zakładamy, że od połowy stycznia do września zamordowano w Treblince minimum 25 transportów Żydów do wybuchu buntu i 10 transportów po nim. Razem około 35 transportów. Zgodnie z wcześniej przyjętą średnią liczbą wagonów i ludzi w transporcie, daje to razem 210 tysięcy osób. Dodając sumę ze szczytu sezonu otrzymujemy liczbę 1 074 000, to jest ponad milion Żydów[75].

To liczba prawdopodobna, Niemcy oczywiście prowadzili dokładną ewidencję zwłok wyjętych z komór. Wiemy to z protokołu żydowskiego ślusarza mechanika nazwiskiem Turowski[76], który informuje o urządzeniu w kasie pancernej w niemieckich barakach, w której znajdowała się skrytka na dokumenty, z guzikiem pozwalającym wywołać krótkie spięcie i spalić je w środku. Wiemy też, że początkowo kazano Żydom przy rozbieraniu i oddawaniu pieniędzy pozostawiać 1 złoty „na kąpiel”. Na początku *Himmelstraße* w drewnianej budce siedział ukraiński wachman, który inkasował pieniądze. Poza tym, że służyło to wprowadzaniu Żydów w błąd, by myśleli, że naprawdę idą się kąpać, owa manipulacja musiała rzecz jasna mieć także cel statystyczny. Została jednak, po pierwsze, szybko zarzucona z powodu wielkiego zamieszania, po drugie, wszystkie niemieckie papiery i rachunki z Treblinki zostały i tak spalone podczas buntu.

Do niedawna przyjmowano dla Treblinki liczbę 3 milionów zamordowanych Żydów. Jest ona całkowicie przesadzona, do Treblinki przywożono Żydów z centralnej Polski, częściowo z innych rejonów kraju i z zagranicy. Treblinka jest bez wątpienia jednym z największych masowych grobów żydowskich w Europie. Nie możemy jednak zapomnieć o fabrykach śmierci w Bełżcu i Sobiborze. Nie możemy zapomnieć o rozstrzelaniach w miastach i miasteczkach Galicji, Litwy, Wołynia

---

znaczeniu pracy Łukaszewicza, Józef Kermisz zauważał, że jeśli chodzi o podawaną w książce liczbę 800 tysięcy, „nowsze badania cyfrę tę obniżyły”. Por. *idem*, *W Treblince po raz drugi*, „Opinia” 1947, nr 21, s. 9. W najnowszych badaniach uznaje się, że w Treblince zamordowano nie mniej niż 780 863 osoby. Por. Jacek Andrzej Młynarczyk, *Treblinka – obóz śmierci „akcji Reinhardt”* [w:] *Akcja Reinhardt. Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatortwie*, red. Dariusz Libionka, Warszawa: IPN, 2004, s. 232.

[74*] Zachowało się 86 wtórników listów przewozowych. Por. Łukaszkiewicz, *Obóz straceń w Treblince*, s. 15. Ostatnim transportem, co do którego dysponowano wówczas dokładnymi danymi, był transport z 23 VIII 1943 r. z Białegostoku. Por. *Obóz zagłady Treblinka*, s. 143.

[75] Prot[okół] S[zmuela] Rajzmana, Archiwum CŻKH w Łodzi. * Obecnie AŻIH, Relacje. Zeznania ocalałych Żydów, 301/687. Świadectwo Rajzmana ukazało się pod tytułem *Mój pobyt w Treblince*, s. 190.

[76*] Chodzi o zeznanie Eugeniusza Turowskiego spisane przez sędziego Łukaszkiewicza 7 X 1945 r.

i Ukrainy, o wileńskich Ponarach, o Obozie Janowskim we Lwowie itd., o dziesiątkach tysięcy zastrzelonych w Stanisławowie, Tarnopolu, Kołomyi, Równem, Baranowiczach i w tylu innych miejscach. Teraz o autach gazujących w roku 1941 w zachodniej Polsce. Dla Chełmna polska Komisja Badania Zbrodni Niemieckich przy całej swojej ostrożności ustaliła na podstawie rachunków od kierowców, którzy jeździli autami śmierci[77] i otrzymywali pieniądze za każdy kurs, liczbę 350 tysięcy zamordowanych Żydów. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że także w innych mordowniach w Polsce i Niemczech, w Oświęcimiu, na Majdanku, w Dachau, Buchenwaldzie, Bergen-Belsen itd. Żydzi dostarczali największy kontyngent trupów. Wszędzie byliśmy najważniejszymi kumami na czarnym niemieckim weselu. A ilu Żydów zmarło z głodu, od tyfusu, ilu zginęło w *Blitz*-pogromach pierwszych lat okupacji?

Ilu zmarło w „normalny" sposób, razem z ludźmi innych narodowości w zwykłych obozach pracy czy kacetach? Musimy się kierować w naszych szacunkach ogólną liczbą zamordowanych Żydów, a przede wszystkim ogólną liczbą Żydów, którzy przed wojną zamieszkiwali Europę. Wymordowano znakomitą i znaczną większość ludności żydowskiej ze wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Nikt jednak nie powinien, w swym poruszeniu naszą przerażającą katastrofą, iść tak daleko, by szacunkowa liczba zamordowanych Żydów przewyższała ogólną liczbę Żydów mieszkających w Europie…

Takie miejsca jak Treblinka, z gigantycznymi masowymi dołami, nie potrzebują do ustalenia monstrualnego charakteru masowej zbrodni, której tam dokonano, żadnych dziwacznych lokalnych patriotyzmów wyrażających się w zawyżaniu liczby ofiar. Wierzcie mi, że już jeden milion osób zamordowanych, w ciągu jednego roku, w jednym małym miejscu to o milion więcej, niż może to pojąć milion ludzkich umysłów, nawet pół miliona to więcej niż dość.

W swojej broszurze *Piekło Treblinki* Wasilij Grossman próbuje wyciągnąć wnioski na podstawie liczby ofiar, którą mogły przyjąć komory gazowe i która zgadza się, wedle jego obliczeń, z liczbą, jaką otrzymujemy z szacunków transportów. I on dochodzi do liczby 3 milionów[78]. Statystyka ta nie wytrzymuje żadnej krytyki. Po pierwsze, nie da się wyprowadzić żadnych wniosków z wielkości komór. Na początku były trzy komory. Później dziesięć, nie wiemy dokładnie ile i od kiedy, ile

[77*] Auta te nazywano „duszegubkami".

[78*] Por. Grossman, *Piekło Treblinki…*, s. 19–20. Grossman pisze: „[…] Treblinka rozporządzała komorami gazowymi o powierzchni 635 m kw. Do jednej komory wtłaczano od 400 do 500 osób, a zatem przy funkcjonowaniu dziesięciu komór tracono średnio 4500 osób naraz. Dodajemy do tego, że operacja taka powtarzała się co najmniej 2–3 razy dziennie (a nawet 5). Jeżeli te cyfry dowolnie pomniejszymy i jeżeli przyjmiemy, że operacje takie miały miejsce tylko 2 razy dziennie, to otrzymamy sumę 10 000 osób zabijanych codziennie w Treblince, co daje liczbę 300 tysięcy ofiar miesięcznie. Obóz w Treblince wykonywał swoją robotę przez trzynaście miesięcy, jeżeli zarezerwujemy 90 dni na reperacje lub na takie dni, kiedy nie było transportów, to pozostanie nam 10 miesięcy. W ten sposób obliczamy, że w Treblince zamordowano ogółem 3 miliony osób" (s. 19).

razy dziennie i w ogóle ilu Żydów wchodziło do komory, czy wszystkie komory funkcjonowały naraz. Jednym słowem – żadnych konkretnych **liczb** z samych komór nie otrzymamy. Możemy jedynie stwierdzić, że unicestwiły wielu, wielu, ach! przerażająco wielu!

W Treblince zamordowano także kilka tysięcy Cyganów i kilkuset Polaków.

Wedle informacji Szmuela Rajzmana transporty przychodziły wedle następującego porządku:

Większość z Warszawy i województwa warszawskiego, Radomia, Częstochowy, Kielc, Siedlec itd. Około 120 tysięcy Żydów ze wschodnich i północnych terenów Polski (okręgi białostocki, grodzieński i wołkowyski), 40 tysięcy z Austrii, 10 tysięcy z Czechosłowacji i około 14–15 tysięcy z Bułgarii i Grecji[79].

Informacja, że w Treblince zginęli Żydzi pochodzący z wymienionych krajów, znajduje urzędowe potwierdzenie dzięki odnalezieniu przez komisję śledczą na terenie byłego obozu większej ilości bilonu i częściowo dokumentów, pochodzących z tych miejsc.

W czasie buntu w Treblince uciec zdołało kilkuset Żydów, którzy jednak w większości nie przeżyli wojny. Po wyzwoleniu zebrało się w Polsce około 50 byłych obozowców, którzy na pewien czas zjednoczyli się w Kole byłych więźniów Treblinki z siedzibą w Łodzi. Później większość z nich zaczęła wyjeżdżać.

Okulary, broszki, złote pióra

Obraz setek, setek tysięcy... milionów ofiar dają nam nie tylko liczby. Tworzą go także przedmioty, z początku uznawane za drugorzędne.

Oto cytat z treblińskiego protokołu o takich drobiazgach, jak pióra, okulary, broszki.

Były obozowiec Aleksander Kudlik opowiada:

„Z sortowania ubrań przeniesiono mnie do sortowania złotych piór. Przy przebieraniu piór pracowałem około 6 miesięcy”[80].

Przez 6 miesięcy, 10 godzin dziennie sortował tylko pióra.

W protokole, który sędzia Łukaszkiewicz spisał ze Szmuelem Rajzmanem, czytamy:

„Majątek Żydów, których zamordowano w obozie, był systematycznie segregowany. W tym celu wykształciły się rozmaite specjalności przy sortowaniu. Ja na przykład w przeciągu około trzech miesięcy sortowałem tylko okulary. W tym czasie przez moje ręce przeszła ogromna liczba okularów. Przypominam sobie też historię z damskimi broszkami. Na początku broszki te (mówię o broszkach niezrobionych z metali szlachetnych) wysyłano do Niemiec, pewnego dnia przyszedł rozkaz, żeby wyjmować z broszek sztuczne kamienie, a sam metal ładować i wysyłać

[79] Prot[okół] S[zmuela] Rajzmana, Archiwum CŻKH w Łodzi (AŻIH, 301/687).

[80] Protokół Aleksandra Kudlnika, Archiwum CŻKH w Łodzi.

W Archiwum ŻIH nie udało się odnaleźć tej relacji (przyp. red.).

do Niemiec. W ten sposób z samych broszek zrobiło się **kilka tysięcy kilogramów surowca** wyekspediowanego do Niemiec[81].

W notatkach statystycznych, zrobionych przez komitet konspiracyjny więźniów w osobach inż. Galewskiego, Kurlanda i Rajzmana, znajdujemy następujące liczby:

„Wywieziono rzeczy: około 25 wagonów włosów pakowanych w workach, 248 wagonów ubrań. Około 100 wagonów obuwia, 22 wagony materiałów tekstylnych gotowych (ludzie przywozili tu całe sklepy, z Bułgarii np.), materiałów aptecznych i narzędzi lekarskich [także foteli dentystycznych[82]] – 40 parę wagonów, narzędzi rzemieślniczych drobnych 12 wagonów; pierza, puchu, kołder, koców, pledów 260 wagonów. Około 400 wagonów różnych przedmiotów, jak wieczne pióra, grzebyki, naczynia kuchenne, portfele i torby damskie, laski, parasole, kilkaset wagonów szmat różnego rodzaju”[83].

Samych tylko brylantów, wedle informacji, które Rajzman otrzymał od jednego z kolegów [Żydów], pracującego przy pakowaniu walorów, złota i dewiz – wywieziono więcej niż 14 tysięcy karatów. Jak widzimy, niemiecki mord na Żydach był nie w ostatnim rzędzie **na gigantyczną skalę zakrojonym mordem rabunkowym**.

Kopaczka

Do technicznego wyposażenia Mordbetriebu należą między innymi mechaniczne maszyny do kopania – ekskawator, „bagier”, albo jako go nazywali treblinkarze – „kopaczka”. Początkowo, gdy jeszcze wszystkie trupy zakopywano, nieustannie kopała doły – w przedniej części „lazaretu” oraz przy komorach gazowych. Swoimi szuflami wybrała z dołów metry sześcienne ziemi. Później, gdy zaczęto palić trupy i zacierać ślady zbrodni, tymi samymi szuflami wyciągała z ziemi góry zwłok.

Tak czy inaczej ów niemiecki homunkulus z Treblinki cały czas pracował w pocie czoła. Jego stukot był w okolicy dźwiękiem rozpoznawczym obozu śmierci. Uciekinierzy nocą orientowali się podług niego, czy oddalają się od obozu, czy błądzą w ciemnościach i ciągle wracają w to samo miejsce.

Z czasem przywieziono do Treblinki jeszcze dwie kopaczki. Gdyby Hitler wygrał, być może jedna z nich za swoje zasługi dostałaby miejsce w niemieckim muzeum wojny. Ramię w ramię z modelami dział i czołgów. Istotnie miała zasługi. Pracowała dzień i noc, dzień i noc kopała doły, stukała... Kopaczka, ten żelazny golem, mechaniczne serce mechanicznego przedsiębiorstwa mordu dla zabijania Żydów.

---

[81] Prot[okół] S[zmuela] Rajzmana, Archiwum CŻKH w Łodzi (AŻIH, 301/687). * W relacji Szmuela Rajzmana zamieszczonej w 1. tomie *Dokumentów i materiałów do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce* nie ma cytowanego fragmentu.

[82] Por. Rajzman, *Mój pobyt w Treblince*, s. 187. * W oryginalnym świadectwie nie ma tej uwagi.

[83] Prot[okół] S[zmuela] Rajzmana, Archiwum CŻKH w Łodzi (AŻIH, 301/687). * Cyt. za: Rajzman, *Mój pobyt w Treblince*, s. 187.

Więźniowie Treblinki

Zanalizowaliśmy już zjawiska, zdefiniowaliśmy fenomeny. Niemcy stworzyli naukę o wyniszczaniu, a my właśnie tworzymy naukę o zagładzie.

Niemiecka zbrodnia nie byłaby doskonała, gdyby nie użyli oni do pomocy żydowskiej siły.

Osobną śmiercią – zasadnicza produkcja – umierają w Treblince masy, osobną – żydowska obsługa Mordbetriebu. Ich przedśmiertny ból ciągnie się dłużej, przedzielony interwałami nadziei, przekształcając się w delirium rozkołatanych uczuć, jest on może w ostatecznym rozrachunku jeszcze cięższy niż tamten, w komorach gazowych.

Jest ich ponad tysiąc, żydowskich robotników. Około 500–600 w pierwszej części obozu, około 300–500 przy komorach. Ich główne zadania: 1) uprzątanie dobytku zamordowanych; 2) uprzątanie trupów; 3) maskowanie i uprzątanie śladów. Każdy obszar podzielony na specjalne funkcje, gromada podzielona na „komanda”. Wciąż dziesiątkowana przez selekcje i bez selekcji, także przez samobójstwa. Wciąż uzupełniana przez nowo przybyłe transporty. Najdłużej utrzymują się tu fachowcy w warsztatach i budowlańcy zajmujący się rozbudową i remontem obozowych urządzeń. Gdy po wizycie Himmlera w lutym 1943 roku rozpoczyna się wyciąganie z dołów i palenie trupów, „komando trupów” zostaje powiększone czterokrotnie.

Do najważniejszych komand należy przez cały czas *Tarnungskommando*, które ma za zadanie rąbanie w lesie gałęzi i wplatanie ich w drut kolczasty ogrodzeń. Bliżej niż na kilometr nie wolno było podchodzić. Otoczone sosenkami trupie pole nazywało się jesienią 1942 roku dowcipnie „przedszkolem”. Drzewa miały za zadanie zasłaniać wnętrze obozu przed obserwatorami z zewnątrz.

Jak utrzymują się Żydzi w piekle? W tym miejscu, gdzie każdy wie, że nie wyjdzie z niego żywy, gdzie trzeba już szczególnego hartu ducha, by nie poddać się ciążeniu ku śmierci, wobec widoku tylu martwych, gdzie wielką sztuką jest nawet w ogóle **chcieć** żyć. Jak to zatem wytrzymują Żydzi, którzy tam pracują? Czy są takimi przerażającymi, żywymi duchami, do których słów i myśli boimy się zbliżyć, podobnie jak odczuwamy lęk przed kontaktem ze zmarłymi? Nie, w nich – skazanych na śmierć, ze śmiercią zaprzyjaźnionych, [żyjących] wśród dziesiątek tysięcy trupów, zagrożonych dziesiątkiem śmierci – tli się płomyczek życia, własnego „ja”, a nawet płomyczek żydowskości. W tym po tysiąckroć przerażającym miejscu.

Jak niesamowite są automatyzmy ludzkiej natury! Jak strasznie działają nawet w dalece mniej dramatycznych okolicznościach niż ten, który nazywa się kompleksem kata-ofiary!

To, co przechodzą żydowscy robotnicy w Treblince, jest niezwykle podobne do tego, co rozgrywa się w innych tego typu obozach.

Ze strachu przed niemieckimi kanaliami część Żydów sama kanaliami się staje. Biją innych Żydów, donoszą. Inni stają się kukłami. Ale są też tacy – i jest ich

całkiem sporo – którzy pozostają ludźmi, jak byli. Nie – jeszcze urastają. W warunkach terroru, który przewyższa terror w Majdanku czy Oświęcimiu, w miejscu, gdzie trudniej znieść psychiczną depresję niż gdzie indziej, **zostaje ułożony i z sukcesem przeprowadzony plan buntu**, może jedynego takich rozmiarów zdarzenia w obozie na całym obszarze okupacji niemieckiej.

Sporadyczne zamachy i akty odwetu zarówno w Treblince, jak i w innych obozach wszelkiej maści zdarzały się znacznie częściej, niż to obecnie wiemy i niż tego się kiedykolwiek dowiemy. Aktem szczególnie wielkiej odwagi był z **premedytacją przygotowany** i przeprowadzony indywidualny zamach obywatela Argentyny **Majera Berlinera**, który 10 września 1942 roku zadźgał esesmana Maksa Biela[84] – hitlerowskiego „świętego", którego imieniem nazwano później niemieckie baraki w Treblince[85].

Bunt, albo nawet lepiej powiedzieć – powstanie w Treblince, wybuchło po długich przygotowaniach 2 sierpnia 1943 roku. Jesienią tego samego roku zorganizowano bunt w Sobiborze. Napaści na niemiecką straż oraz udane lub nieudane próby ucieczki organizowano w wielu miejscach. W buncie w Treblince pozytywne jest to, że odbył się on pod wyraźnym wpływem powstania w getcie warszawskim i w swoich planach kładł nacisk nie tyle na ratowanie życia uczestników, ile na **wypełnienie zadania**: zniszczenie obozu, zabicie esesmanów, a nawet uwolnienie żydowskich i polskich robotników z sąsiedniego obozu karnego Treblinka I.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej porywającego i po ludzku wzniosłego niż rozwój konspiracji w Treblince, wybuch buntu i ucieczka części więźniów. Rezultaty nie były i nie mogły być stuprocentowe, ale mimo to treblińska konspiracja i powstanie należy do najjaśniejszych rozdziałów mrocznej historii żydowskiej Zagłady w Polsce. Do najbardziej poruszających zwycięstw ludzkiej odwagi, rozumu i siły woli nad terrorem, perfidią i brutalną nadwładzą.

„Kiwe" z „Beriszem"

Poza nazwiskami – poza wypowiadanymi ze zgrzytaniem zębów zwykłymi niemieckimi nazwiskami, jak Stangl, Franz, Miette, Spezinger, Post itd. – Niemcy mieli także przydomki. Jak wszędzie. Jest to w pewnym stopniu element konspiracyjnego porozumiewania się między więźniami, a w pewnym stopniu znajduje tu swój wyraz żydowska mądrość ludowa, a nawet ludowy humor. Makabryczny humor, ale wciąż humor. Byli tacy, którzy przydomki te powiązali ze wspomnieniami z rodzinnych stron.

Jednego z sadystów z Treblinki nazywano „Kiwe".

[84*] Właśc. Max Biela (Biala) – członek załogi Treblinki, zastępca komendanta obozu Irmfrieda Eberla, 11 IX 1942 r. zaatakowany nożem przez Majera Berlinera, obywatela Argentyny, deportowanego z warszawskiego getta. Zmarł na skutek odniesionych ran. Historię tę opowiedział Auerbach najpierw Abram Krzepicki, później Tanchum Grinberg.

[85*] Chodzi o *Max-Biala-Kaserne* (niem.) – koszary Maksa Bialy.

– Dlaczego akurat Kiwe? – zadaję pytanie i dowiaduję się, że osobnik ten naprawdę nosił niemieckie nazwisko Kiwe (pisane tylko przez „u umlaut”)[86], ale gdy Żydzi nazywali go „Kiwe”, słyszeli to imię po żydowsku, w ten sposób jednak nie czynili go bliższym. Tylko – śmiesznym.

Drugiego podleca nazywano „Berisz”.

– Dlaczego Berisz?

Przydomek ten nadał mu pewien Żyd z Otwocka. Ten to egzemplarz dziarskiego chłopca, jak już się do kogoś przystawił, nie wypuszczał go żywego z rąk. A otwocki grabarz nazywał się Berisz. Różnica była tylko taka, że otwocki Berisz wysyłał na tamten świat Żydów, którzy umarli śmiercią naturalną, a trebliński, nie przymierzając, ekspediował ich tam z pomocą pejcza i rewolweru.

Obersadystę obozu, Kurta Franza, który awansował tu dzięki swym wielkim „zdolnościom” na Untersturmführera i zastępcę komendanta obozu, nazywali Żydzi „Lalką”. Bo piękny był niczym lalka. Piękny jak anioł i zły jak diabeł. Może w tym przydomku właśnie podkreślono ów kontrast.

Był też lokalny „Frankenstein”. Owo imię filmowego monstrum, niebezpiecznego golema z ekranu, było bardzo popularne w obozach i gettach. Trebliński przydomek pochodził już pewnie z drugiej ręki. Był kolejnym wcieleniem przezwiska warszawskiego żandarma, który przed wypędzeniem, za każdym razem, gdy miał służbę przy bramie wyjściowej getta, miał zwyczaj odstrzelić paru Żydów.

Zawody uratowanych treblinkarzy: komiwojażer, ekspedytor, krojczy, szewc, buchalter.

Zawody katów: elektrotechnik, kupiec, piekarz, przedstawiciel handlowy, kelner („Lalka”).

I takie oto dwie grupy ludzi, przedstawicieli zwyczajnych zawodów, na co dzień pozytywnie odbieranych, zostają zamknięte w zaklętym kręgu specjalnie stworzonej konstelacji, a między nimi rozgrywa się ten dziwaczny dramat piekła.

To produkt systemu. Z jednej strony – totalne zniewolenie człowieka i totalne ograbienie go z wszystkiego. Z drugiej strony – totalne jego zdeprawowanie. Oto wynik hitlerowskiego totalitaryzmu.

W treblińskiej konspiracji i buncie Żydzi odnieśli wielkie moralne zwycięstwo nad systemem.

Opowiada Żyd

Wśród treblinkarzy, którzy jadą z nami, znajduje się taki rodzynek – świadek, którego nikt jeszcze nie przesłuchał. Nazywa się Tanchum Grinberg[87], szewc

[86] Chodzi jednak o SS-Hauptführera Kurta Küttnera, przedwojennego żandarma, w Treblince komendanta obozu nr 1 (tzw. obozu niższego).

[87*] Tanchum (Tadeusz) Grinberg (1913–1976) – szewc, działacz treblińskiej konspiracji, po wojnie świadek w procesie Kurta Franza „Lalki”, zginął w wypadku samochodowym. Swoje zeznanie złożył Grinberg w grudniu 1945 r. i znajduje się ono zapewne wśród dokumentów Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce w Archiwum IPN, przecho-

z Błonia, człowiek z ludu pełną gębą. Zdrowego ludowego ducha czuć w każdym jego ruchu i geście[88]. Z rozmowy z nim chcę akurat zapisać nie to, co makabryczne, ale lepiej – osobiste.

W roku 1941 Tanchum Grinberg został ewakuowany z Błonia do getta warszawskiego. Był już wówczas, mimo młodego wieku, głową i żywicielem rodziny – matki z trojgiem młodszych braci i sióstr. Aby się zabezpieczyć na wypadek łapanki do pracy, jeszcze przed akcją wstąpił do szopu Schultza. Trzy dni pracował „dla Niemca", trzy dni dla siebie, i jakoś zarabiał na życie. Gdy zaczęły się blokady, Tanchum dostał od firmy zaświadczenie dla rodziny, zabezpieczające przed wywózką. Tydzień później, gdy wrócił wieczorem od Schultza do domu, zastał puste mieszkanie. Części sąsiadów udało się jeszcze ukryć, ale bliscy Tanchuma zdali się na ów „Ausweis" i całą rodzinę zabrano.

Na kuchni – Tanchum odmalowuje wrażenie z pustego domu – stały jeszcze w garnuszku kartofle, na wpół ugotowane i zimne. Ogień pod kuchnią wygasł...

Usiadł wtedy w pustym mieszaniu i zapłakał...

– Trzy razy w życiu płakałem – dodaje Tanchum na marginesie swojej opowieści. – Pierwszy raz, gdy odumarł mi ojciec. Miał 46 lat, chorował na raka. Drugi raz, gdy odebrano mi matkę z dziećmi. Trzeci raz...

– Trzeci raz długo po wszystkim, gdy już byłem na wolności.

– Zebraliśmy się wtedy, sami Żydzi, cała kompania, w miasteczku Sterdyń, niedaleko Sokołowa [Podlaskiego] i Treblinki. Ukrywałem się w tym miasteczku od czasu powstania. Urządziliśmy sobie taką małą uroczystość, po wyzwoleniu. Było wśród nas kilku sowieckich żołnierzy Żydów. Oficer spod Charkowa i dziewczyna, która potrafiła grać na skrzypcach. Grała bardzo pięknie. Piliśmy wódkę. Starszy podporucznik, Żyd, nieco się wstawił. A im dłużej dziewczyna grała, tym robił się smutniejszy. Po czym stanął na środku izby i wygłosił do nas taką mowę:

„I ja miałem dom. Miałem żonę i pięcioletnie dziecko, chłopca. Gdy Niemcy zaczęli zabijać, jeden człowiek ich ukrył, drugi zdradził i wydał. Zabito ich i tego, który ich ukrywał. A ten, który ich wydał, żyje. Powinienem wrócić do tego miasteczka, wziąć swego nagana i go zastrzelić. I całą jego rodzinę. Nie wolno mi jednak tego zrobić i zrobić tego nie chcę. Tak czy inaczej nic to już nie pomoże. Nigdy więc już tam nie pojadę. I nigdy już nie będę miał domu. Dla mnie jest tylko wódka, nic więcej".

– Usiadł przy stole i pił dalej. I gdy tak dziewczyna dalej grała, a sowiecki żołnierz mówił, zrozumiałem, że dziś wszyscy my, Żydzi, jesteśmy jak oni, i chwycił mnie taki płacz, taki płacz... Wyszedłem do drugiej izby i zapłakałem, uważa pani, jak małe dziecko.

Tanchum Grynberg był świadkiem zamachu Majera Berlinera na Biela 10 września 1942 roku. W Treblince pracował w warsztacie szewskim. O pracy u Niemców

---

wywane jest także w archiwum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. Grinberg był wcześniej przesłuchiwany także przez komisję radziecką, protokół jest przechowywany w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej.

[88] W zbiorach warszawskiej Komisji Wojewódzkiej (obecnie w AIPN) znajduje się bardzo szczegółowy opis Treblinki w relacji Tanchuma Grinberga spisanej po ekspedycji z 7 listopada.

mówi: „jak u faraona w Egipcie”. W Treblince – powiada – było się każdego dnia jak „Icchak przed ofiarowaniem”.

Meir Kapo

I jeszcze opowiada Tanchum o pewnym chłopaku – także inni go wspominają – nazywali go „Meir Kapo”. Był synem sofera[89] i miał piękny głos. Był pobożny. Wprowadził więc zasadę, że każdego wieczora po pracy, gdy wszyscy byli już zamknięci w barakach, stawał do modlitwy *maariw*[90] i odmawiał *Ejl mole rachmim*[91] (Tanchum mówi: „*Kejl mole rachmim*”[92]). Potem Żydzi w barakach zmawiali na głos kadysz[93].

– A Niemcy? A Ukraińcy? – pytam – nic wam za to nie zrobili?

– Ładna historia – odpowiada Tanchum – najwyraźniej nic pani nie wie o muzyce w Treblince (pytanie!). Nie wie pani, jak bardzo Niemcy lubili żydowskie kawałki? Przychodzili jeszcze nasłuchiwać pod oknami. I dlatego zanim go nie zastrzelono, był u nich kimś ważnym, kapo, choć nigdy nie zrobił nam nic złego.

Zapatruję się w obraz morderców stojących nocą pod oknami i wsłuchujących się w żydowskie *Ejl mole rachmim* za umarłych, których sami zabili.

A niedaleko jest las. A wokół pole. Pole śmierci.

Chaimek z konikiem

Historia o Meirze Kapo wywołuje wśród treblinkarzy lawinę wspomnień. Jeden opowiada o Jom Kipur[94] w obozie. O takich, którzy pościli. Drugi wspomina o tym,

---

[89*] *Sofer* (hebr. piszący, skryba) – osoba specjalizująca się w przepisywaniu zwojów Tory i jej fragmentów (wypisująca mezuzy, tefilin [filakterie]), jak również tekstów oficjalnych (kontrakt ślubny, rozwód).

[90*] *Maariw* (hebr. zachód) – wieczorne modły odmawiane po zmroku, jedno z trzech nabożeństw codziennej liturgii (obok modłów porannych – *szacharit*, oraz popołudniowych – *minchy*).

[91*] *Ejl mole rachmim* (wym. hebr. *El male rach(a)mim*, Boże pełen miłosierdzia) – modlitwa za duszę zmarłego, odmawiana wśród aszkenazyjskich Żydów, recytowana przez kantora podczas pogrzebu po złożeniu zwłok do grobu i z innych okazji, gdy wspomina się zmarłych, a także w dni pamięci. Obecnie ma ona kilka wersji: indywidualną – za konkretną osobę, i zbiorowe – za ofiary Zagłady i za żołnierzy Izraelskich Sił Zbrojnych.

[92*] Dowodzi to, że Grinberg jest osobą religijną, a zmiana wynika z zakazu wymawiania imienia Bożego nadaremno. W kontekście mowy świeckiej (poza kontekstem liturgicznym) zmienia się w tym celu nieco wymowę niektórych określeń Boga. Zamiast „Elohim” usłyszymy więc „Elokim”, a zamiast „El” (w wymowie aszkenazyjskiej „Ejl”) – „Kel” (czy – jak w tym przypadku: „Kejl”).

[93*] Kadysz (aram. święty) – modlitwa wysławiająca wspaniałość Boga, odmawiana m.in. przez żałobników za zmarłych krewnych i bliskich. Do zmówienia kadyszu wymagany jest *minjan* – obecność dziesięciu dorosłych (w sensie religijnym) mężczyzn.

[94*] Jom Kipur (hebr. Dzień Pojednania) – najświętszy dzień żydowskiego roku liturgicznego, zwany szabatem szabatów, wypadający dziesiątego dnia miesiąca tiszri i zamykający

że w obozie śmierci wypiekano przed Pesach mace. A jeszcze inny przypomina sobie przy okazji historię, którą warto zapisać.

Brzmi ona zupełnie jak jedna ze starych ludowych opowieści o żydowskim męczeństwie.

– Na Chanukę – opowiada Szymon Friedman z obozu karnego Treblinka I – udało się pewnemu Żydowi zdobyć gdzieś kilka świeczek i wieczorem odmówił błogosławieństwo nad chanukowym światłem. Obok przechodził ukraiński wachman, dostrzegł światełka, wszedł do nas i wściekle zapytał: „Kto zapalił te świeczki?". Ma się rozumieć, że gdy otworzył drzwi, światła już zgaszono i nikt nie chciał się przyznać. Ukrainiec na to: „Czekajcie, czekajcie, nie chcecie powiedzieć? U mnie skończyłoby się na karze, ale złożę meldunek Niemcom i zobaczycie, co się będzie działo".

Można mu było wierzyć. Niebezpieczeństwo było całkiem poważne i Żydzi zaczęli dyskutować, co robić. Ani ten naprawdę odpowiedzialny, ani żaden inny z więźniów nie był jednak skory wziąć winę na siebie. Wtedy wychylił się ze swojego kąta piętnastoletni chłopak imieniem Chaimek. Jego funkcją w obozie było opiekowanie się małym konikiem, zaprzęganie go przy każdym obiedzie do wózeczka, którym zawoził jedzenie grupie kobiet pracujących w pralni. Był sierotą i ulubieńcem wszystkich.

– To ja zapaliłem świeczki – odezwał się Chaimek – dziś jest rocznica śmierci mojej mamy, a u nas w rocznicę śmierci zapala się świeczki.

I chłopak wziął na siebie 25 batów, by wyzwolić całą gromadę Żydów od strachu.

Opowiada Polak

Z Siedlec jedziemy samochodem do starostwa. Dostaję miejsce w budce kierowcy oraz kierowcę nazwiskiem Marzec – sympatycznego, krzepkiego chłopaka, który w czasie okupacji trzymał u siebie radio i... pewną Żydówkę z dzieckiem. I on ma do opowiedzenia historie o Żydach, o Treblince.

Opowiada tak prosto, rzeczowo, krótko. O tamtych czasach, o akcji w Siedlcach, gdy na środku rynku wystawiono stoły i „zaczęła się ceremonia". Przy stołach sztab, najpierw się najedli i napili, a potem przystąpili do roboty. „Starych i słabych zastrzelono u nas na miejscu". „A jeśli takiego przydzielili na lewo, tam, gdzie stały kobiety i dzieci, było jasne, że to na śmierć".

On – polski obserwator – znakomicie pojął ową zasadę niemieckiej taktyki – że jeśli kobiety, dzieci, starzy, chorzy, to będzie z nimi najgorsze.

Z transportów ludzie próbowali uciekać. Wzdłuż szyn kolejowych owego lata zabici leżeli co krok.

Później zrobiono w Siedlcach przerwę. Obiecano, że Żydów, którzy będą pracować, nie będą już niepokoić. Kazano im wracać do domów. „Chodziło o to – wyjaśnia

---

okres dziesięciu dni pokuty. W Jom Kipur obowiązuje ścisły post, a większość dnia spędza się na modlitwie.

Marzec – by Żydzi, którzy schronili się w lasach i po wioskach, zebrali się ponownie w jednym miejscu. A gdy już byli z powrotem w mieście, na same «trąbki» (*Rosz ha-Szana*[95]) przyjechały „szkopy” i wszystkich ich, wyposażonych w pracę i niezbędne papiery, załadowali do pociągu i wywieźli. Rozkazali rozebrać bóżnicę i zrobili ze wszystkim koniec”.

Ludzie i ludziska

Wszyscy Polacy z okolic, z powiatu siedleckiego, a szczególnie z sokołowskiego, widzieli i wiedzą wiele. W miasteczku Kosów znano dobrze Niemców i Ukraińców z Treblinki, którzy przychodzili tu hulać, upijać się i fotografować. Sędzia Łukaszkiewicz spisał już z okolicznymi Polakami wiele protokołów. W pierwszej kolejności z pracownikami kolei ze stacji, przez którą przejeżdżały transporty. Tutejsi chłopi widzieli nocą płomienie ze stosów, na których palono zwłoki. Do nich musieli przychodzić po pomoc uciekinierzy z Treblinki. Część Żydów znalazła pomoc, część – rabunek, donos i śmierć.

„Są ludzie i ludziska” – wzdycha nasz kierowca i wzdychają więźniowie Treblinki. Ale każdy z nich, ocalonych, znalazł jakiegoś Polaka, który naraził swoje życie i udzielił mu pomocy. Dla Friedmana chłopka nagrzała o świcie ceber wody, przemyła mu rany i opatrzyła je czystym kawałkiem materiału. Dała pajdę chleba do ręki i kij, by miał się na czym oprzeć. Pokazała drogę: Idź, powodzenia! Na skraju kolejnej wsi, nieopodal której leżał całymi dniami ukryty w sianie, w gorączce od [jątrzących się] ran, znalazł kolejnego gospodarza, który codziennie wieczorem wynosił mu z domu trochę jedzenia i nawet papierosa, żeby mógł sobie zapalić. Tego papierosa Friedman wspomina z jeszcze większą wdzięcznością niż jedzenie, dzięki któremu udało mu się przeżyć. Ów chłop jako pierwszy przekazał mu później wiadomość, że jest już wyzwolonym człowiekiem, że do pobliskiej wsi weszły już „Ruskie”.

Drugi z naszej kompanii, Jechiel Rajchman, chciałby koniecznie podjechać parę kilometrów samochodem, żeby odwiedzić „swojego” chłopa, oddać mu z podziękowaniem nową koszulę w zamian za tę, którą tamten mu podarował, gdy zakrwawiony, poraniony Rajchman biegł przed siebie po powstaniu, a ze wszystkich stron gnała za nim obława… Kolejnemu, Szmuelowi Rajzmanowi, pomógł udający chłopa sędzia, który osiedlił się na czas okupacji u swojej rodziny na wsi i sam zakonspirowany, przyjął do siebie kilku Żydów – uciekinierów z powstania w obozie. Trzymał ich u siebie cały rok, do wyzwolenia.

Gdzieś tu mieszka też gospodarz, który sam ledwo się uratował, gdy za ukrywanie Żydów podpalono mu chałupę i gospodarstwo.

W innej rodzinie za to samo zastrzelono ojca i dwóch synów.

---

[95] **Rosz ha-Szana* (hebr. początek roku) – żydowski Nowy Rok. Jednym ze zwyczajów związanych z tym świętem jest dęcie w róg, zwany *szofar*, stąd też nazwa „trąbki” lub „Święto Trąbek”.

Nad tym miejscem wiecznie będzie mgła

Dojeżdżamy do Kosowa, gdzie trwa właśnie dzień targowy. Tłumy chłopów i chłopek, fury, bydło, konie. Milicja wie, że mamy przyjechać. Czeka już na nas prokurator, sędzia, mierniczy przysięgły, jak również przewodniczący sokołowskiej Rady Narodowej z grupą milicjantów oraz sołtys wsi Wólka Okrąglik, na której terenie zbudowano obóz Treblinka. Gdy mijamy plac targowy, dochodzi nas gdzieś z tłumu gwizd. Pamiętamy dobrze, że w Kosowie Lackim zamordowano niedawno jedenastu Żydów, że w okolicy znajduje się wielu wrogów, nowych krezusów, wzbogaconych i – ma się rozumieć – zdeprawowanych sąsiedztwem obozu śmierci. Pamiętamy, ale nie myślimy teraz o niebezpieczeństwie.

Cały poranek panowała mroźna, słoneczna, ładna pogoda. Teraz, po drugiej po południu, gdy opuszczamy Kosów i ruszamy boczną drogą pokonać ostatnie dziesięć kilometrów dzielących nas od Treblinki, wokół podnosi się nagle dziwna mgła.

Gdy jechaliśmy tutaj, ocaleni z Treblinki rozmawiali jeden przez drugiego, prześcigali się nieustannie w swojej znajomości terenu. Teraz nagle wszyscy zamilkli. Każdy zapadł się w sobie. W pobliżu tamtego miejsca każdy robi własny rachunek sumienia.

Koła samochodu ślizgają się po drodze zbudowanej żydowskimi rękami. Rozglądam się, czy nikt nie słyszy, jak głośno zaczyna bić mi serce. I jak zawsze, gdy stajemy twarzą w twarz z czymś, o czym wiele się rozmyślało, przed czym drżało się ze strachem, co dręczyło bez ustanku wyobraźnię, okazuje się, że prawdziwy z tym kontakt działa zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażaliśmy. Próbuję przywołać z pamięci twarze wszystkich bliskich i najbliższych, dla których droga, którą zbliżamy się do Treblinki, była tą ostatnią.

Gdyby naprawdę istniała nieśmiertelność duszy, ich dusze błąkałyby się przecież po tym miejscu. Wśród dusz, które nie mogą zaznać zbawienia. Zginęła bowiem masa. Kto wie – może żydowskie dusze to ta mgła, która wisi teraz nad naszymi głowami.

Już widzimy szyny trasy Siedlce–Małkinia. To jest tam, właśnie tam. Na lewo od tamtego lasku.

A nad pustkowiem tym wisi niebo ołowiane, tak niskie, że można doń sięgnąć. Mlecznoszara mgła wypełnia całą przestrzeń. Drzewa iglaste majaczą w oddali, jakby okryte czarnym woalem. Słońce zrobiło się blade i przyćmione. Jak mała, okrągła twarz ludzka, spogląda na wszystko z góry. Jak pomarszczona, nagle z bólu postarzała twarz żałobnika.

– Skąd się wzięła taka mgła? – pyta ktoś w samochodzie.

– Nad tym miejscem zawsze będzie mgła – odpowiada ocalony z Treblinki. I widzę wyraźnie, że chce coś dodać, coś wielkiego i głębokiego. Coś takiego, czego jeszcze w życiu nie powiedział. Ale nie może.

Polskie Kolorado albo gorączka złota w Treblince

Wiedziałam, że tak się kiedyś stanie i trzy lata temu pisałam już o tym[96]. Proroczo przewidziałam, że miejsce żydowskiej Zagłady stanie się kiedyś polskim Klondike, dokąd z całego kraju przybywać będą wszelkiej maści awanturnicy, by kopać w ziemi i szukać skarbów.

Przez Treblinkę przeszły naprawdę ogromne skarby. Setki tysięcy ludzi przybyły tutaj z tym, co posiadali najlepszego i najdroższego. „Złoto i waluta mogą zostać zabrane”[97] – pisano na afiszach „wysiedleńczych” w Warszawie i innych miastach. Co znaczyło: „*Le maan ha-Szem* – jako chce Bóg, Żydki, nie zapomnijcie zabrać swoich pieniędzy i złota”. Co za łaska niespodziewana! Pozwolili zabrać to, czego zasadniczo, w myśl przepisów niemieckich, nie wolno im było już od dawna mieć.

Gdyby Żydzi nie wzbraniali się tak mocno spojrzeć prawdzie w oczy, już tylko na tej podstawie powinni byli zrozumieć, co ich czeka. Nie byli aż takimi głupcami, by zgodnie z zarządzeniem z 1940 roku oddać wszystko, co mieli. Jedni wieźli więcej, drudzy mniej, z wyjątkiem tych, którzy już wszystko wyprzedali z głodu (o ile do 1942 roku z tego głodu nie powymierali – to najbiedniejsi, uchodźcy, żydowski proletariat). Większość Żydów miała zachowany „grosz na czarną godzinę – oby nigdy nie przyszła”, oby „nigdy nie był potrzebny”.

Żydzi – jako doświadczony od pokoleń naród tułaczy, zwłaszcza od czasu wojny obecnej i wysiedleń, od czasu, kiedy już wiedzieli, że w ciągu pół godziny można nakazać wyjście i porzucenie wszystkiego – starali się jak najwięcej swojego majątku nieruchomego ulokować w ruchomym. I w tym najbardziej ruchomym: złocie, biżuterii i dolarach.

Czy oznacza to, że Żydzi są rzeczywiście narodem samych bogaczy? W żadnym razie! Ale dziś nie mam zamiaru wchodzić w spór z antysemickimi legendami o żydowskim bogactwie. W Warszawie i innych miastach byli wielcy bogacze, ale nawet bogactwo im nie pomogło i wraz z tym wielkim majątkiem wywieziono ich do Treblinki. Jeszcze większy musiał być – biorąc łącznie – majątek średnich i małych posiadaczy. Przeciętnego Żyda. Suma żydowskich sznurów pereł, diamentowych kolczyków i złotych łańcuszków odziedziczonych po babkach i dziadkach, złotych

---

[96*] W innym miejscu Auerbach pisała: „Jednym słowem będą zapewne kiedyś ludzie kopać i kopać treblińskie Kolorado w poszukiwaniu złota i ukrytych skarbów”. Nie ma więc racji Jan Tomasz Gross („Rachela Auerbach […] rozdział poświęcony działalności «kopaczy» zatytułowała *Polskie Kolorado* [miało być zapewne «Eldorado»], *albo gorączka złota w Treblince*”) i inni komentatorzy, twierdząc, że autorka pomyliła się i chciała napisać „Eldorado”. Już sam kontekst wskazuje, że mówiła o Kolorado i innych miejscach związanych z gorączką złota. Por. Jan Tomasz Gross i Irena Grudzińska-Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków: Znak, 2011, s. 46.

[97*] W obwieszczeniach rozplakatowanych 22 VII 1942 r. w getcie warszawskim pisano: „Wszystkie przedmioty wartościowe, jak pieniądze, biżuteria, złoto itd., mogą zostać zabrane”. Auerbach w polskich tekstach przytacza również inne formuły: „Prócz bagażu osobistego do 25 kg wolno zabierać ze sobą także walutę i kosztowności”.

„dukatów" przeszłych pokoleń. Carskich rubli i amerykańskich twardych „sztuk", tych kilku „miękkich" papierowych dolarów, które ten czy ów dostał kiedyś od krewnego z Ameryki i trzymał zawieszone w woreczku na szyi albo zawiązane w pasie wokół ciała. Często takie rzeczy dawano do schowania kobietom, żeby wszyły je sobie w gorsety, ukryły na wszelkie sposoby. Kobiety były – jak uważano do 1942 roku – mniej wystawione na niebezpieczeństwo niż mężczyźni. Możliwe też, że właśnie dlatego na kobiety podczas „akcji" polowano intensywniej niż na mężczyzn.

Wszystko to przywieziono do Treblinki, złoto i waluta tarzały się tu dosłownie, jeśli nie w błocie, to w piasku i kurzu. Często deptano po dziesięcio- i dwudziestodolarówkach. Banknoty Żydzi często darli w ostatnim momencie, ale złota podrzeć nie mogli i Niemcy stąd i z podobnych miejsc wywieźli grube miliony, miliardy.

Należy pamiętać o tym, że mord na Żydach był w pierwszym rzędzie mordem rabunkowym. Eksploatacją pieniędzy i walorów. Cała treblińska *Werterfassung* – przed śmiercią i po niej – podobnie jak eksploatacja żydowskiego majątku w ogóle, już od samego początku była zorganizowana w pierwszorzędny sposób. Do sortowania kosztowności i rzeczy ze złota sprowadzono niemieckich jubilerów. Jak mówią ocaleni obozowcy, jednym z nich był „całkiem przyzwoity *jeke*[98]" (bo nigdy nie znęcał się bez powodu i starał się wyciągnąć z selekcji Żydów pracujących pod jego rozkazami), pochodził z Lipska. Wraz ze swoimi „złotymi Żydami" sortował, szacował wartość, ważył i wysyłał kolejne walizy wypchane brylantami, biżuterią, złotem i obcą walutą. Od czasu do czasu ładowano owe walizy na samochody i wysyłano pod eskortą do Lublina. Może do dyspozycji generała SS i Brigadeführera Globocnika. Może po przejściu przez jego ręce ekspediowano je dalej – dla celów państwowych lub prywatnych ministrów i Reichsführera – do Berlina.

Nietrudno sobie wyobrazić, że osoby, które miały największy udział w stworzeniu tego źródła przychodu, miały też z niego należytą prowizję.

Łatwo sobie przedstawić, jak Globocnikowie i Himmlerowie wzajemnie obdarowywali się prezentami i sprawiali sobie przyjemności.

Mniej oficjalne, ale nie mniej znaczące były „piękne podarki", które zabrali stamtąd i przesłali dalej niemieccy i ukraińscy esesmani. Ciężkie pierścienie, drogie zegarki. Byle czym nie wypychano sobie kieszeni[99].

Najmniej z żydowskiego mienia korzystali sami Żydzi. Choć, co prawda, próbowali. Ci, którzy pracowali w lesie, z pomocą „opłacanych" Ukraińców za dobrą walutę, po fantastycznych cenach kupowali sobie w okolicznych wsiach coś do jedzenia.

Gdy jakiemuś Żydowi udawało się uciec, często też zabierał coś ze sobą. Częściej jednak po drodze wszystko mu odbierano, niekiedy wraz z życiem. W ten sposób w okolicy Treblinki wyrastali bandyci i bogacze.

---

[98] Zob. przypis 31.

[99] Rajzman pisał: „Dowódca obozu, «*Hauptsturmführer*» Stengl [!], były właściciel sklepu w Wiedniu, miał namiętność do drogocennych kamieni i pereł, które całymi walizami wywoził do domu". *Idem*, *Zagłada Treblinki*.

Ale t e r a z, gdy wszystko się już skończyło, gdy obóz już od dawna spalony, a wszystko wywiezione, czy jest jeszcze jakaś nadzieja na złote skarby?

Owszem!

Dobrze zorientowani wiedzą, że nie wszystkie zwłoki spalono, a poza nagimi trupami w części grobów w różnych miejscach pochowano Żydów w ubraniach.

Z nieprzeszukanymi kieszeniami, z nieznalezionymi jeszcze schowkami – ukryte, zaszyte, pełne. U nich, u tych samych Żydów, pośmiertna *Werterfassung* nie wyrwała jeszcze z ust złotych zębów. Na te właśnie zęby, na te ubrania, a także na skarby zakopane przez żydowskich robotników czyhają ci, którzy rozkopują tu ziemię.

Przychodzą tu wszelkiej maści szabrownicy i maruderzy – z łopatami, całe grupy. I kopią, szukają, ryją. Przesiewają piasek, wyciągają z ziemi na wpół rozłożone części ciała, kości, rozrzucone szczątki, licząc, że natrafią choćby na jakąś monetę, na jeden złoty ząb. Taszczą tu nawet niewypalone pociski i bomby – ludzkie szakale i hieny. Podkładają kilka naraz, robiąc ogromne dziury w zbezczeszczonej, przesiąkniętej krwią, wymieszanej z popiołem spalonych Żydów ziemi…

Piaszczysta ziemia odkrywa swą tajemnicę

Auto się zatrzymuje. Wychodzimy. Tu zaczyna się teren [obozu]. Według wyliczeń – piętnaście hektarów. Równolegle do torów kolejowych biegnie dobrze ubita droga – ma może półtora kilometra długości – i nagle się urywa. Z niej wyrasta kolejna, urywająca się jeszcze szybciej. Żwir na obu jest wymieszany z węglem i popiołem ze stosów, na których palono zwłoki. Druga droga prowadzi w tym samym kierunku co owa „droga do nieba”, po której nie został już dziś nawet ślad. Jeszcze fragment betonowych fundamentów stajni i to wszystko, co zostało z zabudowań obozu. Z drutów, baraków, wież strażniczych, komór gazowych. Część budynków spłonęła w czasie powstania, pozostałościami zajęli się szabrownicy z okolicznych wsi, już po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Za Niemców cały teren został zaorany i zasiany łubinem. Łubin wyrósł i pokrył wszystko zieloną maską. Wydawało się, że zatarto ślady zbrodni. Później, od zeszłego roku, na cmentarzysko zaczęły przychodzić ludzkie szakale i hieny. Natknęliśmy się tam na taki oto obraz:

Gdzieniegdzie, jak trawy nad brzegiem morza, na wpół zasypane przez wędrujące piaski, sterczą małe, zwiędłe kępki łubinu. Na całym terenie nie ma ani jednego równego skrawka ziemi, wszystko wzruszone, rozgrzebane. Kopczyki i dołki. A na nich, w nich i między nimi – przede wszystkim – rzeczy. Aluminiowe czajniki i rondelki, blaszane emaliowane garnki – zardzewiałe, powyginane, podziurawione. Grzebienie z wyłamanymi zębami, na wpół przegniłe podeszwy damskich letnich bucików, zbite lusterka, skórzane portmonetki. Wszystko to znajduje się tam, gdzie stało pierwsze ogrodzenie z drutu, obok rampy kolejowej.

Zaczynamy naszą wędrówkę w miejscu, gdzie wyładowywano transporty, i idziemy dalej, drogą, którą szli oni – przywiezieni tu Żydzi. To, co tu widzimy,

to resztki treblińskiej *Werterfassung*. Pozostałości ogromnych stosów żydowskiego mienia, które tu pakowano i wysyłano, palono i uprzątano, a jednak nie udało się tego całkowicie uprzątnąć. Nie udało się uwolnić od pozostałości po setkach tysięcy ludzi, którzy przeszli przez to miejsce. D o w o d y r z e c z o w e, *corpora delicti*.

A gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, kim byli ci ludzie, którzy tak obficie zostawili tutaj ślady swojego przeciętego życia, do jakiego narodu należeli – wystarczy tylko się przyjrzeć:

Powyginane szabasowe świeczniki – można tu nazbierać całą kolekcję. Kawałek tałesu. Może dopiero co wyciągnięta z ziemi, z widoczną niebieską gwiazdą Dawida, biała, świeża, elegancka warszawska „opaska" (róg Karmelickiej i Leszna – o s t a t n i krzyk gettowej mody). Cały stos peruk.

Musi to być zapewne zapodziana, niespalona część jakiegoś magazynu.

Żywych, obciętych włosów używano jako surowca do celów przemysłowych. Ale wygląda na to, że na perukach starych pobożnych Żydówek zamierzano robić jakieś lepsze interesy. Może miały trafić przez jakieś zaprzyjaźnione, „neutralne" państwo na sprzedaż, za porządną cenę, dla Żydów w Ameryce. Wraz z Torami i Talmudami, które dla tej samej przyczyny troskliwie pakowano w pudła i chowano.

Ale dowody rzeczowe nie ograniczają się do samych rzeczy. Zapuszczamy się coraz głębiej w teren obozu i wchodzimy na pole u s i a n e l u d z k i m i k o ś ć m i.

Bomby odsłoniły wnętrze zbezczeszczonej ziemi. Kości nóg, żebra, kawałki kręgosłupów, czaszki, większe i mniejsze, krótkie i długie, okrągłe i owalne.

Czaszki...

Skąd by tu wziąć specjalistę od ras?

Wreszcie można by tu przeprowadzić ostatecznie rozstrzygające pomiary antropologiczne dotyczące rasowego składu narodu żydowskiego.

A może trzeba tu filozofa, myśliciela, duńskiego księcia Hamleta, który zacząłby prowadzić rozmowę z grabarzami. Spoglądałby na te czaszki i mówił do nich.

– Worek, czy ktoś ma worek? Weźmy ze sobą worek z kośćmi!

W ciągu minuty powstał stos kości. Nie było jednak żadnego worka i kości nie zabraliśmy ze sobą.

Ale ile może zmieścić worek? Stamtąd można by wywieźć wagony! Po całym tym paleniu. Jeśli kości są relikwiami, relikwiami z Treblinki można obdzielić cały żydowski naród.

To nóżka mojego dziecka

Im dalej idziemy, tym mocniej czuć zapach rozkładających się ciał. Przeszliśmy już przez słynny „zagajnik", rzadki lasek sosnowy, przez który biegła „droga do nieba". Znajdujemy się w miejscu, gdzie stały komory gazowe, ogromne masowe doły i ruszty z szyn. Gdzieniegdzie trupi fetor miesza się z zapachem spalenizny. Rzeczywiście, to tu, to tam, widzimy kopczyki białego popiołu, osmalone kości,

kupki sadzy. Wszystko to już leżało zakopane kilka metrów pod ziemią, wymieszane z piaskiem i piaskiem pokryte, ale z powodu wybuchów wyszło ponownie na powierzchnię. W jednym miejscu po podłożeniu kilku bomb naraz powstał ogromny dół. Na jego dnie – z powodu mgły – niewyraźnie majaczą jakieś kontury.

– To nie są tylko kości – mówi prokurator. – Leżą tam oblepione piaskiem kawałki na wpół rozłożonych ciał, splątane wnętrzności.

Prokurator i sędzia znają tu już każdy kąt. Nad śledztwem pracują od jakiegoś czasu. Przesłuchali żydowskich i nieżydowskich świadków. Przeprowadzili pomiary i pomniejsze prace wykopaliskowe.

Ocaleni z Treblinki biegają w tę i z powrotem, wiedzą, pokazują, spierają się jeden z drugim. Mylą się i znów rozpoznają miejsca. Chcieliby coś zrobić, wykonują dziwaczne gesty, które mają jakoś oddać ich uczucia, tak splecione z tym miejscem. Trzeba zebrać kości. Wskakują do dołów. Drżącymi gołymi rękami dotykają rozkładających się szczątków, chcą pokazać, że się nie brzydzą.

I mają rację. Jesteśmy teraz dokładnie jak muzułmanie, którzy karawanami ciągną swoich zmarłych do Mekki i uważają za swój święty obowiązek znosić w drodze z cierpliwością i miłością trupi fetor. Tak czujemy się na polach, gdzie leżą ostatnie szczątki naszych męczenników.

– Spójrz, tam na brzegu tamtej dziury – mówi sędzia – leży szkielet dziecięcej nóżki.

Jeden z ocalonych biegnie w tamtą stronę.

– Uważaj – ostrzega go drugi – na nóżce wisi jeszcze kawałek ciała.

Ale ten, który po nią poszedł, owija ją w gazetę jak pobożny Żyd zwykł zawijać *etrog*. Owija kość w połę płaszcza, a następnie wkłada do kieszeni i przytula do serca.

– Może to nóżka mojego synka, którego zabrałem tu ze sobą – odpowiada. I niesamowite jest to, że choć każdemu z nas chce się użyć pięknych słów, a piękne słowa są tu albo całkowicie na miejscu, albo całkiem zbędne, może to być przypadkowo prawda, prosta, faktyczna prawda.

Kto rozpozna czaszki, żebra, kości nóg, które pozostały tu niespalone? Jak kiedyś napisał Perec Markisz[100] w poemacie *Di kupe* (Stos):

„Szukasz tu swoich rodziców,
Szukasz towarzysza?
Są tutaj, wszyscy są tutaj…”[101]

[100*] Perec Markisz (1895–1952) – jeden z czołowych twórców nowoczesnej literatury jidysz. Jego utwór *Di kupe* (Stos), powstały w 1919 r. pod wpływem pogromów na Ukrainie, stanowi jeden z najważniejszych w literaturze żydowskiej tekstów dotyczących doświadczenia pogromu i śmierci.

[101] Auerbach przywołuje także Markisza w swoim dzienniku: „Kto wyśpiewa El mole Rachmim tym trupom, grzebanym dzień po dniu na Gęsiej w Warszawie Anno Domini 1941?: *Mir zenen do, mir zenen ojsgelejgt do, ałe, ałe/Jud alef tiszri tow pej alef* (w przekładzie Marka Tuszewickiego: „Z całego miasta usypano nas – w stos – z całego, z całego,/23 września 1920-ego). Muszę zapytać, jak nazywa się rok bieżący wedle żydowskiej rachuby. Sądzę, że

To kości nas wszystkich. Przypatrzmy się dobrze: czy w tych dołkach wykopanych w piachu nie leżą przypadkiem i nasze własne czaszki? A nam albo jakiemuś rozgniewanemu, okrutnemu bogu śni się w śmiertelnie smutny, mglisty jesienny dzień, że nasze ciała mają jeszcze wciąż głowy.

To przecież bezsensowny przypadek, że nasze kości nie walają się po tym polu.

Przecież byliśmy skazani na taką samą śmierć, w tym samym miejscu…

Zapada noc

Wracamy już.

Znów dochodzimy do miejsca, gdzie leżą naczynia. Ktoś zauważa zanurzony pyszczkiem w piasku rondelek do podgrzewania mleka. Może jakaś matka zabrała go ze sobą w plecaku dla swojego malucha? Teraz wala się ten rondelek samotnie, jak sierota. Rdzewieje na deszczu, nikomu już niepotrzebny…

Zawstydzeni, cali chorzy, ze zwieszonymi głowami, opuszczamy to miejsce.

Nie nadszedł jeszcze czas, żeby można było się w tym miejscu skupić w głębokim smutku. Kto mógłby się tu modlić, wiedząc, że w ziemi znajdują się szczątki, spopielony proch jego bliskich, przyjaciół, setek znajomych i setek tysięcy nieznajomych Żydów. Straszliwy gniew, ból i sprzeciw wobec gigantycznej, nieznanej dotąd światu zbrodni, która się tu dokonała, zaburzają i wypaczają te małe obrzydliwości, te ohydne rzeczy, które czynią tutaj różne drobne kreatury. Teraz, dziś. Po wojnie i po upadku Hitlera.

Wsiadamy do samochodu i odjeżdżamy do Siedlec.

Zaczyna mnie bardzo boleć głowa.

Ciężkie zmęczenie opada nas wszystkich.

Nad treblińskim polem zapada noc.

Z jidysz przełożyła *Karolina Szymaniak*

---

i tak nietrudno będzie znaleźć poecie odpowiedni asonans". Zob. *Archiwum Ringlebluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 7: *Spuścizny*, oprac. Katarzyna Person, Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny i Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2012, s. 173 i 239. Przekład sporych fragmentów poematu Markisza ukazał się w „Cwiszn" 2012, nr 3.